

Nadberezyńcy • Wyprawa trzemeszeńska • ...Na mapach Google • Polak symbolem RAF-u

NR 2 • 11 LISTOPADA 2017

Święto Niepodległości



PAP/ Fot. Tomasz Gzell

I odżyła umartwiona,
11 listopada 1918 roku,
niepodległa, białoczerwona,
na zawsze, choć zło zawsze na Nią w swych zakusach,
przyczajone do zdradliwego skoku,
aż przyjdzie dzień
wolności na wieki danej.
W imię Boga i Syna i Ducha Świętego – tak wierzymy Panie.
Lech Galicki/ Fragment wiersza „Polska nie zginie silna nad zdradzieckie narody”

W numerze:

Nacjonalizm w Polsce – na wschodzie bez zmian

(...) W przypadku ruchów nacjonalistycznych, które wg Vettera, rozwalają od wewnątrz stabilny, postępowy, liberalny system polityczny, panujący w Unii Europejskiej, nie chodzi o normalną miłość do kraju pochodzenia, pielęgnację języka oraz kultury, lecz o rozbuchaną wściekłość, polegającą na wykluczaniu ludzi o odmiennych poglądach z danego kręgu narodowościowego. (...) W tej kwestii autor powołuje się na opinie nauczającego w Princeton niemieckiego politologa, profesora Jana-Wernera Müllera.



s. 5 ►

Historia jednej rodziny

„W ogóle los wszystkich dzieci w obozie potulickim był szczególnie dramatyczny. Wiele dzieci nie wytrzymało trudnych warunków obozowych. Spoczywa ich najwięcej na przyobozowym cmentarzu”.



s.18 ►

Walka o odkłamanie historii Polski toczy się na kartach anglojęzycznych podręczników

Od 11 lat trwają spotkania naukowców, którzy prostują przekłamania dotyczące historii Polski i regionu Europy Środkowo-Wschodniej w trafiających do milionów studentów na całym świecie anglojęzycznych podręcznikach. SeminaRIA odbywają się pod hasłem:

„Przywracanie zapomnianej historii”. Uczniowie odnieśli już wiele sukcesów, które ich zdaniem, mogą znacznie skuteczniej przełożyć się na kształtowanie wiedzy o historii Polski na Zachodzie niż prezentowane w mediach materiały dziennikarskie.



Co jakiś czas w mediach pojawiają się informacje o tym, w jaki sposób polska historia jest zakłamywana na Zachodzie. Najbardziej znanym przykładem jest sformułowanie „*polish death camps*” (ang. *polские obozy zagłady*), którego to użył nawet prezydent USA Barack Obama, i to podczas odbywającej się w Białym Domu uroczystości uhonorowania Jana Karskiego Prezydenckim Medalem Wolności w maju 2012 r. To jednak nie koniec. Polaków zelektryzowała ostatnio wiadomość przekazana przez wicepremiera Piotra Glińskiego. Profesor zwiedzał wystawę w powstałym z inicjatywy Parlamentu Europejskiego Domu Historii Euro-

pejskiej w Brukseli. Na ekspozycji stałej, dotyczącej głównie historii Europy w XX wieku, dostrzegł w dziale „faszyzm”... Józefa Piłsudskiego! Marszałka umieszczono tam bez znajomości żadnego kontekstu historycznego, w którym funkcjonowała II RP. To jednak nie koniec. - *Z narracji wystawy wynika, że największymi ofiarami II Wojny Światowej byli Niemcy. Nie wskazano ich roli jako agresorów i inicjatorów wspomnianej wojny oraz nie wskazano na cywilne ofiary niemieckich działań wojennych w całej Europie – mówił o wystawie Wicepremier Gliński.*

i w krajach kultury anglosaskiej. We wspomnianych publikacjach mówi się – poza „polskimi obozami śmierci” oraz „faszyście Piłsudskim” – o tym, że wkroczenie Sowietów 17 września 1939 r. do Polski było „próbą ochrony ludności przed niemiecką okupacją”, w 1945 r. Armia Czerwona „wyzwoliła” Polskę i całą Europę Środkowo-Wschodnią, a komunizm upadł nie pod naporem „Solidarności” i dzięki współdziałaniu Jana Pawła II, lecz dzięki Michaiłowi Gorbaczowowi. Podręczniki informują o Powstaniu w Getcie Warszawskim, nie wspominając jednocześnie o Powstaniu Warszawskim, a granicę Europy utożsamiają ze wschodnią granicą Niemiec. W przekonaniu wielu Amerykanów i Europejczyków, postanowienia konferencji jałtańskiej obowiązują nadal, co przekłada się na interpretację historii. Brzmi to jak „political fiction”, ale takie przekłamania rzeczywiście mają miejsce. I to w publikacjach naukowych!

W trakcie seminariów uczestnicy zwiedzają Polskę i poznają kulturę regionu. Ten networking służy wymianie informacji i doświadczeń oraz z pewnością wpływa pozytywnie na efekty końcowe projektu.

Skąd w ogóle biorą się wspomniane już przekłamania? - Trwała i trwa - trzeba to nazwać wprost - walka o historię. To nie jest nic nowego – mówił dla interii.pl pomysłodawca projektu, prof. Andrzej S. Kamiński z Georgetown University.



Przekłamania polskiej historii dziedzictwem XIX w.

Aby wyjść naprzeciw problemowi zakłamywania polskiej historii w zachodnim przekazie naukowym i medialnym, 11 lat temu Fundacja Przestrzeni Obywatelskiej i Przestrzeni Społecznej zaczęła organizować seminaria naukowe pod hasłem „Przywracanie Zapomnianej Historii”. Obraz Europy Środkowo-Wschodniej w anglojęzycznych podręcznikach akademickich”. Dotychczas odbyło się piętnaście takich spotkań. Oprócz polskich ekspertów, a także przedstawicieli z krajów Grupy Wyszehradzkiej i innych państw Europy Środkowo-Wschodniej, uczestniczyli w nich naukowcy z najbardziej prestiżowych uniwersytetów na Zachodzie, a także przedstawiciele najważniejszych wydawnictw naukowych na świecie, takich jak Cambridge University Press, Harvard University Press, czy Oxford University Press. Warto wspomnieć, że jeden z panelistów, prof. John McNeill (uczestnik trzech konferencji), został wybrany w 2017 r. na prezesa American Historical Association - najstarszego, największego i najbardziej prestiżowego zrzeszenia historyków w USA.



Przyczyn takiego stanu rzeczy upatruje jeszcze w XIX w. To wtedy tworzyła się nowoczesna nauka historii, a Polski nie było na mapach. Tymczasem mocarstwa zaborcze już wtedy inwestowały swoje siły w budowę odpowiednich przekazów dotyczących ich dziejów. Dziś te same państwa wydają na politykę historyczną olbrzymie pieniądze. - Na przykład Niemcy przeznaczają około 20 milionów euro rocznie, by na Uniwersytecie Georgetown działał instytut niemiecki. Wychowuje on amerykańskich naukowców, którzy następnie idą pracować w innych amerykańskich uczelniach – mówił we wspomnianej rozmowie prof. Kamiński.

Nie tylko historia najnowsza jest obiektem zainteresowań ekspertów konferencji. Równie ciekawe są ich zdaniem czasy Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Eulalia Łazarska – prezes Fundacji Przestrzeni Obywatelskiej i Polityki Społecznej – organizator konferencji twierdzi, że wspomniane już lata rozbiorów były preludium do obecnej sytuacji. - *Przestrzeń zajmowaną wcześniej przez Rzeczpospolitą Obojga Narodów zajęły albo Niemcy, albo Rosja, a sama Rzeczpospolita i narody ją zamieszkujące po prostu nie istniały. Pozycja naszego kraju, jednego z pierwszych, w którym uformowało się społeczeństwo obywatelskie (XVI w.), i jednego z nielicznych*



W JEDNYM ŁAMIE

Nie ma sprawy
ważniejszej

Maciej Świrski

Jak co roku świętujemy 11 listopada jako Święto Niepodległości. Przypominamy wydarzenia tamtego czasu, które pod symbolem 11 Listopada się mieszczą – zjednoczenie się całego narodu w dogodnym momencie historycznym do odzyskania niepodległości. I nie był to początek – bo przecież zbrojna walka o niepodległość trwała od 1914 roku – czyn legionowy pod przywództwem Józefa Piłsudskiego, wysiłek Polskiej Organizacji Wojskowej, Błękitna Armia Gen. Hallera. Ten wysiłek zbrojny trwał i po 11 Listopada – walka o granice, Powstanie Wielkopolskie i wojna z bolszewikami, Bitwa Warszawska – historyczne zwycięstwo oręża polskiego pod dowództwem Komendanta. I oczywiście trwały wysiłki polityczne i organizacyjne. Musimy pamiętać, że pomimo różnic politycznych i programowych dwa wielkie ruchy polityczne reprezentowane dwoma nazwiskami – Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego – w tej świętej sprawie odbudowy Niepodległości potrafiły współpracować. Bez względu na to, kto jakie ma poglądy na rzeczywistość polityczną Polski dzisiejszej musi pamiętać o jednym – nie ma sprawy ważniejszej niż Państwo Polskie, jego trwałość, niepodległość, nienaruszalność granic i pomyślność rozwoju. Bez własnego suwerennego państwa Polacy są wyzyskiwanym ludem tubylczym. Dopiero suwerenne państwo daje Polakom możliwość pełnego rozwoju dla pomyślności narodu i przyszłych pokoleń a nie sąsiadów.

Dlatego tak ważne jest, aby każdy z nas, Polaków, czyli ludzi poczuwających się do polskiego kodu kulturowego, ceniących sobie polską przeszłość, tradycję, kulturę i historię pamiętał o tym, że polska niepodległość jest nierozdzielnie związana z wizerunkiem Polski. Rozbiory Polski rozpoczęły się od zniszczenia wizerunku niegdyś potężnego państwa – od propagandowych oszczerstw o „polskich Irokezach”, od prowokacji „tumultu toruńskiego” i oskarżeń o „polską nietolerancję”, i powstania konieczności wzięcia w obronę innowierców przez państwa ościenne. W polskiej historii jest regułą, że najpierw atakowana jest polska reputacja, a potem niepodległość i zdolność Polaków do rządzenia się samemu. Dlatego współczesne niszczenie wizerunku Polski przez rozmaitych ludzi oskarżających Polskę o antysemityzm, dyktaturę, brak demokracji jest po prostu występowaniem przeciwko bezpieczeństwu państwa. tu NATO jest ściśle polityczny – pomoc napadniętemu państwu członkowskiemu zostanie przez sojuszników udzielona w przypadku, gdy zgodzą się na to politycy. Politycy są uzależnieni od wyborców. Jeśli ich wyborcy nie będą dobrze myśleć o Polsce, to politycy nie zgodzą się na pomoc. Dlatego musimy, każdy Polak musi, pracować nad budową pozytywnego wizerunku Polski. To napisałem w manifestie założycielskim Reduty Dobrego Imienia prawie 5 lat temu i to jest tak samo aktualne dzisiaj.

Kiedy 11 listopada świętujemy odzyskanie niepodległości przez Polskę w 1918 roku, niepodległości straconej na skutek trzeciego rozbioru z 1795 roku, cieszymy się, bo to jest radosne święto i wielki dzień. Trzeba jednak pamiętać, że Polska odrodziła się w innym, zmienionym kształcie. Kiedy u schyłku XVIII wieku traciła swój samodzielny byt, była wczasy Rzeczpospolitą Obojga Narodów, a w istocie państwem wielonarodowym, w którym w miarę harmonijnie współżyli po sąsiedzku Polacy, Rusini, Litwini, Żydzi, Tatarzy, Karaimi, Ormianie, od stuleci wspólnie zmagając się z najazdami a to Szwedów, a to Moskwy czy Turków. Tak więc z mapy zniknął potężny organizm państwowy złożony z dwóch, ściśle związanych: Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Przy czym Księstwo było krajem Rusinów (Białorusinów) przede wszystkim, a dopiero w drugim rzędzie Żmudzinów posługujących się językiem litewskim.

Dla polskich losów niezwykle brzemienny w skutki stał się koczujący wojnę polsko-bolszewicką Traktat Ryski, zawarty 18 marca 1921 roku. Ustalono wtedy wschodnie granice odradzającego się państwa polskiego, II Rzeczpospolitej.

Pierwsza faza rozmów miała miejsce w sierpniu 1920 roku, kiedy Sowieci szli na Warszawę. Szef polskiej delegacji, Jan Dąbski zgodził się na nieuwzględnienie Ukrainy jako pełnoprawnego partnera rozmów – co sprawiło, że jej los został przesądzony i ostatecznie niezależne państwo ukraińskie (które w zamyśle Piłsudskiego miało pełnić rolę bufora między Polską a Rosją) nie powstało. Po odparciu bolszewików 15 sierpnia - „Cud nad Wisłą” – a potem po zwycięstwie Polaków w Bitwie nad Niemnem (28.09.1920) i zdobyciu Mińska, sytuacja negocjacyjna radykalnie się zmieniła. szewiccy w słusznym przeświadczeniu, że Polska zażąda przesunięcia swoich granic aż po Berezynę i Dniepr nakazali ewakuowanie całego ruchomego majątku z całego obszaru Orszy i Smoleńska”.

Nadberezyńcy... Świętując Niepodległą, pamiętajmy o Nich

Halina Świrska

Skąd wzięli się „Nadberezyńcy”?

Berezyna... rzeka tragicznych zmagania armii napoleońskiej, rzeka domowa dla wielu Polaków zasiedlających szerokie ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego. Losy Polaków mieszkających między **Berezyną a Dnieprem**, właśnie „Nadberezyńców” w czasie „przed” i podczas odradzania się Polski niezwykle malowniczo i przejmująco opisał **Florian Czarnyszewicz** w eposie pod takim właśnie tytułem. To książka przepiękna i jednocześnie bardzo bolesna. W dużej mierze autobiograficzna, bo Autor stamtąd pochodził, tam dorastał, wszystko to sam przeżył i zapamiętał – z wielką, młodzieńczą wrażliwością – i po wielu latach odtworzył. Przy tym odtworzył językiem żywym, autentycznym niepodrabianym – stamtąd! Drobna, zagrodowa szlachta, z której pochodził, od wieków mieszkała nad Berezyną, na „ziemiach zabranych”, jak je zwano w czasach zaborów. Część ulegała zruszczeniu, większość jednak trzymała się uparcie polskiej mowy, wiary i pamięci. **Florian Czarnyszewicz** ukończył 4 klasy rosyjskiej szkoły w **Bobrujsku**, polskiego pisma uczył się od domorosłych nauczycieli tajnych polskich szkółek. Jako podrostek był świadkiem i uczestnikiem polskiego odrodzenia narodowego po ukazie carskim z 1906 roku znoszącym m.in. zakaz nauczania języka polskiego (dotyczącym wcześniej również nauki we własnym domu!) i nabywania ziemi przez Polaków na „ziemiach zabranych”. Wszystko to obrócił wniwecz najpierw wybuch I wojny światowej



w 1914 roku, a następnie rewolucja październikowa. Florian Czarnyszewicz opisuje wielką tęsknotę do „Korony”, żarliwe oczekiwanie ludzi, że Ona, Ta, która się właśnie odradza, o nich nie zapomni, do nich wróci; zmagania z bronią w rękę, by to się stało. Dramatyczne podziały, rosnące wpływy bolszewików, władza Niemców, szła radości po przyjsciu Dowbór-Muśnickiego,

Walka o odkłamanie historii Polski toczy się na kartach anglojęzycznych podręczników

◀ s.2 w którym trwało ono tak długo (XVI–XVIII w.), nie istnieje w tych opracowaniach. Pomija się też zupełnie znaczenie staropolskiej myśli politycznej i działania Polaków w budowie podstaw demokratycznego liberalizmu europejskiego i demokratycznej myśli narodowej, co ówczynie stanowiło wzór dla innych krajów europejskich. Te fakty są zapomniane lub nierozumiane przez ogół historyków światowych – mówi Łazarska w wywiadzie dla polonijnego „Nowego Dziennika”. Jej zdaniem, ta nieobecność Polski i regionu Europy Środkowo-Wschodniej wynika z braku dostępu do anglojęzycznych źródeł na ten temat, a te które istnieją są przekładami z opracowań rosyjskich i sowieckich. A te z kolei niekorzystnie interpretują dzieje naszej ojczyzny i całego regionu.

- Nie znam bardziej skutecznego sposobu na zmienianie (niekorzystnego dotąd na ogół) obrazu Polski i całego regionu, który można by określić jako obszar dziedzictwa I Rzeczypospolitej, w środowisku akademickim USA – mówi profesor. - Żadne 5 czy nawet 30-sekundowe filmiki dla CNN nie będą miały większego efektu. O ich treści przypadkowi widzowie zapomną po kilkunastu sekundach, może dniach, najwyżej tygodniach. Zmieniane pod wpływem omawianych konferencji podręczniki do historii Europy, cywilizacji czy Rosji – amerykańscy studenci muszą „wkuwać”. Oni będą stanowić elity – polityczne, biznesowe, kulturalne i opiniotwórcze Ameryki. Jeśli nie docenimy tego „kanału” wpływu na ich wyobrażenia o naszym regionie, o Polsce, to zmarnujemy wielką szansę - konkluduje.

Piotr Woźniak, prezes Spółki docenia tego typu projekty. – Konferencja „Przywracanie Zapomnianej Historii” doskonale wpisuje się w nasze działania prowadzone w ramach programu „Rozgrzewamy Polskie Serca”, którego celem jest troska o wartości patriotyczne, edukacja historyczna i budowanie naszej polskiej wspólnoty narodowej. Uważam, że PGNiG SA jako jedna z największych firm w Polsce ma wobec społeczeństwa obowiązki sięgające dalej niż tylko działalność biznesowa. Nowocześnie pojmowana społeczna odpowiedzialność biznesu to także dbałość o dziedzictwo narodowej pamięci. Znajomość historii pozwala nam lepiej zrozumieć współczesną geopolitykę, z którą związane są interesy zarówno naszej firmy, jak i całej polskiej gospodarki – pisze we wstępie do wspomnianej broszury.

Projekt będzie kontynuowany, a w chwili obecnej trwa pozyskiwanie środków na XVI edycję, która będzie mieć miejsce w 2018 r.



 PGNiG

Sukcesy bez udziału kamer

Seminarium „Przywracanie zapomnianej historii” może pochwalić się licznymi sukcesami. Dotychczas zrecenzowano 84 publikacje, dzięki czemu wprowadzono do nich pożądane korekty. Przykładowo, na jednej z konferencji ekspertom udało się przekonać autorów dwóch najpopularniejszych podręczników amerykańskich do historii Rosji, iż warto uczciwie wspomnieć w nich o Katyniu, prawidłowo przedstawić znaczenie paktu Ribbentrop-Mołotow czy też wreszcie ukazać atrakcyjność modelu polityczno-ustrojowo-kulturowego Rzeczypospolitej w XVI – XVII wieku.

Z kolei w 2016 roku wydawnictwo Harvard University Press złożyło prof. Andrzejowi Nowakowi propozycję publikacji podręcznika „History of Modern Poland”.

Ten, jeden z najbardziej znanych polskich historyków, nie kryje swojego entuzjazmu wobec projektu.

Specyfikę seminarium naukowego, czy też *workshopu*, jak mówią organizatorzy, docenił wspomniany już w tym tekście Wicepremier Piotr Gliński.

- Godny najwyższego uznania jest przede wszystkim przedmiot pracy, którą tu się wykonuje. Daleko od kamer, daleko od zgiełku i rozgłosu, daleko od emocjonalnego i wyższościowego uniesienia, oskarżeń i pretensji, tak charakterystycznych dla „walki” o prawdę we współczesnej „debacie” publicznej. Organizatorzy podejmują się benedyktyńskiej pracy u podstaw. Analizują treści anglojęzycznych podręczników i szukają sposobów dotarcia do ich autorów, żeby w uczciwej i szczerzej rozmowie – nie zaś w pojedynku na ideologiczne maczugi – przekonać ich do polskiego punktu widzenia – mówił szef resortu kultury w przedmowie do specjalnej broszury wydanej przez Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo SA – mecenasa strategicznego tegorocznej (2017) edycji projektu.

Fundacja PGNiG została laureatem nagrody Strażnik Pamięci 2017 za mecenat nad projektem „Recovering Forgotten History”

- Tylko znakomity mecenas jest w stanie poznać się na znakomitym pomysle.

W przypadku projektu prof. Kamińskiego owym znakomitym mecenasem jest dziś Fundacja jednego z największych polskich koncernów – Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa, która od niemal dwóch lat prowadzi nowatorski program „Rozgrzewamy Polskie Serca”. Ale – jak się dziś okazuje – Fundacja PGNiG rozgrzewa nie tylko polskie i nie tylko serca.

Dzięki wspieraniu projektu „Przywracanie zapomnianej historii” – rozgrzewa bowiem także UMYŚLY – poza Polską, i jak najbardziej dla dobra Polski!

Piotr Gabryel – zastępca redaktora naczelnego „Do Rzeczy”

Krótką historią kobiecego oddziału sabotażowo-dywerysyjnego „Dysk” w Armii Krajowej

Marta Kilich



Podczas wrześniowego oblężenia Warszawy przez wojska niemieckie w 1939 r., gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz utworzył organizację wojskową o nazwie **Służba Zwycięstwu**

Polski (SZP). W skład jej wchodziła dawna kadra oficerska znana z obrony Polski z 1939 r. Głównym jej zadaniem było kierowaniem walkami konspiracyjnymi wobec wroga niemieckiego. Jednym z trzonów SZP był **Oddział III Sztabu**,

który organizował komórki zajmujące się akcjami sabotażowo-dywerysyjnymi, zw. Sztabem Dywersji. Na czele tej komórki stanął oficer służby stałej, saper **mjr Franciszek Niepokólczycki „Franek”**. Podlegało mu kilku oficerów-saperów, m.in. **kpt. dypl. Jan Kiwerski „Lipiński”**, **kpt. Mieczysław Kurkowski „Mietek”** oraz **kpt. mjr Jan Andrzejewski „Jan”**. Głównym ich zadaniem było m.in. szkolenie oraz organizowanie produkcji środków walki. W 1940 r., w momencie przekształcenia SZP w **Związek Walki Zbrojnej (ZWZ)**, ta mało znacząca struktura wojskowa została wyodrębniona z Oddziału III

i przekształcona w zakonspirowany pion organizacyjny, **Związek Odwetu**, którego dowódcą został dotychczasowy szef dywersji w ZWZ, **mjr Niepokólczycki**. Warto podkreślić, że Związek Odwetu był wydzieloną jednostką organizacyjną, ściśle zakonspirowaną i samodzielną. Można zadać pytanie: dlaczego ZO został uznany za samodzielną strukturę w ZWZ? Z jednej strony miało to zapewnić lepsze zakonspirowanie oddziałów, o których wiedzieli tylko najważniejsi oficerowie ZWZ, zaś z drugiej strony utrudnić rozszerzenie na całą organizację „wsyp” i niepotrzebnych zagrożeń, na które były szczególnie narażone

Nadberezyńcy...



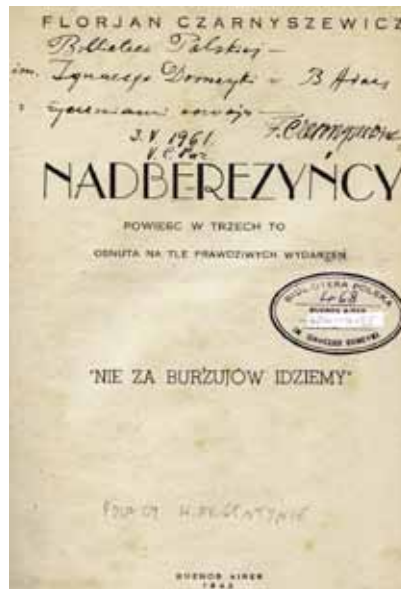
Pod koniec maja 1918 roku na rozkaz generała Józefa Dowbor-Muśnickiego, na miejscu pochówku poległych żołnierzy Korpusu Twierdzy Bobrujskiej został usypany kopiec. To miejsce stało się symbolem pamięci o wojskowych, poległych w nierównej walce z bolszewikami. Kopiec zaprojektował inżynier, pułkownik Jan Wroczyński.

◀ **s.3** zmieniające się fronty. Miłość i śmierć. I, jakby mimochodem, obojętność możnych panów, którym łatwiej sprzedać swoje dobra i wyjechać, niż poprowadzić do walki o Ojczyznę... Opisując szczegółowo podniosłą i wzruszającą uroczystość konsekracji polskiego, tak bardzo upragnionego kościoła w Bobrujsku, autor na mgnienie oka porzuca narrację w trzeciej osobie, by powiedzieć: I ja tam byłem, pamiętam i nigdy nie zapomnę... Ale nie jest to książka patetyczna. Przeciwnie, wiele w niej humoru, drobnych obserwacji obyczajowych, co sprawia, że ten zaginiony raz na zawsze świat staje żywy przed naszymi oczami. Tylko miłość potrafi stworzyć tak wierny obraz. Miłość do tych ludzi, tej ziemi, tego świata, ostatecznie zgładzonego przez operację polską NKWD w 1937 roku. Zgładzonego wbrew ustaleniom tegoż samego Traktatu Ryskiego, gwarantującego możliwość „repatriacji” i prawa polskiej ludności pozostającej na obszarze Rosji Sowieckiej. Wyjechać do Polski udało się nieco ponad milionowi rodaków. Ponad półtora miliona pozostałych spotkały prześladowania – przymusowa kolektywizacja, wysiedlenia, zesłanie, głód, a ostatecznie często rozstrzelanie.

Ale jeszcze nim ten świat przestał istnieć Czarnyszewicz musiał go porzucić.

Był wywiadowcą w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku, zwycięskiej wojnie, która dała mu i wielu innym pewność, że Polska wróci nad Berezynę... Gorycz, polski chleb powszedni stała się i jego udziałem. Po decyzjach Traktatu Ryskiego, które na przekór oczywistym faktom i przekonaniom samych Sowieców oddały tamte ziemie bolszewickiej Rosji a Nadberezyńców wydały na przepaść, nie mógł tam pozostać. Zaczął pracować w Wilnie, ale bieda powojenna i utrata wszystkiego, a także gorycz bycia tak blisko utraconej ojcowizny, sprawiły, że wyjechał na emigrację. Co czuł ten wrażliwiec miłujący swoją ziemię każdą cząstką duszy, smakujący jej przepaściste puszcze i rozsolone pola, całą swojskość nadberezyńską – przez kilkadziesiąt lat dźwigając świńskie i krowie tusze w rzeźni **w Berisso w Argentynie?** Książkę pisał długo, wydał w 1942 roku, być może ożywiony nadzieją, że II wojna światowa ponownie odmieni kształt świata. I że jest jeszcze jakaś nadzieja dla Nadberezyńców. Zapewne nie wiedział, że wszyscy oni od lat już są straceni – bo wieści z sowieckiej Rosji nie przychodziły,

kryjąc zbrodnie milczeniem. A zasięg oddziaływania Sowieców po II wojnie jeszcze się zwiększył... Choć jego książka od razu zyskała świetne recenzje, narzucona Polsce po II wojnie światowej podległość Rosji i władza komunistów uniemożliwiły jej zaistnienie w kraju, choć powinna wejść do kanonu literatury polskiej.



Dedykacja Floriana Czarnyszewicza na egzemplarzu przekazanym Bibliotece Polskiej im. Ignacego Domeyki w Buenos Aires .

Florian Czarnyszewicz w Domu Polskim w Berisso. (1963 r.)

Biblioteka Polska im. Ignacego Domeyki należy do Związku Polaków w Argentynie. Jest największą w Ameryce Południowej. Prezesem Biblioteki jest Marta Bryszewska

Dlaczego Polska ich oddała?

Dlaczego tak się stało? Dlaczego po zwycięskiej wojnie, odparciu bolszewików i ich rozbięciu, zgodziliśmy się na okrojenie terytorium i porzucenie ziem i ludzi na przepaść?

Podczas rokowań w Rydze uwidoczniła się różnica stanowisk między najważniejszymi siłami politycznymi w Polsce. Józef Piłsudski dążył do realizacji koncepcji federacyjnej, w myśl której należało wspierać narody I Rzeczypospolitej w ich dążeniach do samostanowienia. Innymi słowy obok odrodzonej Polski powinna powstać niezależna Ukraina, Litwa i Białoruś, oddzielające nas od Rosji. Jednak większość polskiej delegacji w Rydze stanowili endecy Romana Dmowskiego, których zdanie było odmienne. Według nich należało dążyć do włączenia do Polski pewnej części ziem kresowych dawnej Rzeczypospolitej i je następnie spolonizować. Ewentualne powstanie młodych państw – Ukrainy, Białorusi i Litwy – uważali za zagrożenie. Dlatego na przykład zde-

zachowana różnorodność i bogactwo Pierwszej, a utracone zostały jedynie ziemie I rozbioru, to stała się rzecz dramatyczna, a kompletnie pomijana – oprócz gehenny, która stała się udziałem Polaków w Sowieciech. Otóż Wielkie Księstwo Litewskie, które wraz z Koroną ostatecznie zostało „złożone do grobu” w 1795 roku, wraz z nią nie zmartwychwstało. Zostało podzielone, i były to niesłychanie bolesne podziały. Jego „resztówka” – Wileńszczyzna i ziemie do Dźwiny, część zachodniej Białorusi (a także część Ukrainy po Zbrucz i Dniestr) weszły w skład terytorium Polski. Z części ziem północnych powstało państwo litewskie, pozostałe zagarnęła sowiecka Rosja. Całą bolesność tego podziału żywo odczuwał Józef Mackiewicz, wyraziciel „idei krajowej” – warto sięgać do jego tekstów. Tęsknota za Księstwem przebija u Czesława Miłosza. W Rydze Roman Dmowski postawił na swoim, federalistyczna koncepcja Piłsudskiego przegrała. Przegrali Nadberezyńcy i cała rzesza Polaków porzuconych na pastwę sowieckiej władzy.

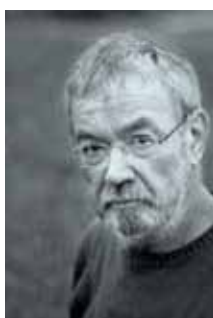
Recenzja książki Reinholda Vettera

Nacjonalizm w Polsce – na Wschodzie bez zmian

Katarzyna Kumpf

Recenzja dotyczy poniższego wydawnictwa:
Reinhold Vetter: Nationalismus im Osten Europas. Was Kaczyński und Orban mit Le Pen und Wilders verbindet
 Ch. Links Verlag, Berlin, 1. Auflage, Maerz 2017, ISBN 978-3-86153-939-1

Reinhold Vetter:
 Nacjonalizm w Europie Wschodniej. Co łączy Kaczyńskiego, Orbana z Le Pen i Wildersem, Wdawnictwo Ch. Links, Berlin, wydanie pierwsze, Marzec 2017, ISBN 978-3-86153-939-1



Miękką okładkę książki Vettera dekoruje symboliczna aranżacja graficzna – zwał skalny w intensywnym kolorze błękitu indygo kruszy się, pęka i rozstępuje, zaś złoto-żółte gwiazdy zatracają kontury oraz konsystencję, a niektóre z nich już całkowicie zniknęły w niebycie. Tak, a nie inaczej, w przekonaniu autora, dzieje się nie tylko z godłem Unii Europejskiej, lecz i z nią samą. Przyczyny tego postępującego rozpadu oraz degrengolady są wg Vettera jednoznacznie wytropione, zdiagnozowane, godne potępienia, a przede wszystkim zwalczania. Autor przedstawia czytelnikowi wyczelowaną ekspertyzę oraz przedkłada propozycje terapeutyczne, na których zastosowanie, w jego przekonaniu, posiadają konsesję jedynie ci, którzy sformułowali diagnozę u schorowanego pacjenta.

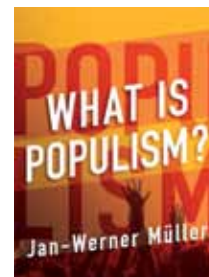
Omawiana książka składa się z kilku części. Najpierw zajmuje się analizą status quo panującego w tzw. Europie Wschodniej, czyli w Polsce, na Węgrzech, Słowacji, w Republice Czeskiej, Chorwacji, Słowenii oraz państwach bałtyckich. Następnym etapem jest ujawnienie mechanizmów, które doprowadziły do dynamicznego rozwoju tych wzmocnionych, dobrze uplasowanych nacjonalistycznych sił, będących w przekonaniu autora tendencjami oraz ruchami o charakterze przeważająco ekstremalnym. Natomiast w kolejnej części publikacji Vetter przedstawia syntezę, ujawniając pierwiastki wspólne oraz elementy odmienne charakteryzujące wszystkie te ruchy.

Epilogiem niniejszej książki jest wielopunktowy oraz wielowątkowy zestaw postulatów, zawierający propozycje naprawcze, których urzeczywistnienie zmierzałoby do scalenia państw zrzeszonych w Unii Europejskiej oraz naprawienia ich uszkodzonych struktur wewnętrznych.

Bardzo negatywnym wydarzeniem w aktualnej, politycznej sytuacji światowej jest dla Vettera zwycięstwo wyborcze odniesione przez Donalda Trumpa. Nowy Prezydent na kontynencie amerykańskim nie jest jedyną negatywną postacią sceny politycznej. Jego zwycięstwo ucieszyło i inne, jemu podobne czarne charaktery życia politycznego, tzn. Le Pen, Viktora Orbana, sympatyków AfD (Alternative für Deutschland – Alternatywa dla Niemiec), Milosa Zemana i innych. I już te stwierdzenia Vettera wskazują na to, że w heroicznym zamierzeniu wystawiania ocen przedstawianym protagonistom oraz przedłożeniu scalonego systemu pojęciowego, gubi tropy główne oraz nie mierzy ani swoich zamiarów, ani tym bardziej sił, osuwając się przede wszystkim w uprawianie propagandy, karcenia, pouczenia, scholastycznego gromienia, przywoływania do porządku, stawiania w kąt, selektywnego doboru przytaczanych faktów oraz demagogię. A to wszystko w przypadku Polski jest ponadto hojnie okraszone stereotypowymi uprzedzeniami w stosunku do tego kraju, społeczeństwa, kultury oraz narodu.

Zacznijmy od tego, że na globalistyczną modłę autor wrzuca do jednego worka wiele różnych kultur, tradycji, narodów, poglądów, języków oraz grup społecznych, tworząc w ten sposób zaprzeczenie analizy oraz syntezy, ba! konstruując chaos oraz wykazując się butą i lekceważeniem w odniesieniu do specyfiki podłoża powstania poszczególnych ruchów politycznych. Stara marksistowska ideologia, przyprawiona do smaku nowymi ingrediencjami pochodzącymi z kuźni myślowej Szkoły Frankfurckiej, ujawnia tu swoją twardą, bezwzględną dyktaturę intelektualnej nieomyślności.

W przypadku ruchów nacjonalistycznych, które wg Vettera, rozwalają od wewnątrz stabilny, postępowy, liberalny system polityczny, panujący w Unii Europejskiej, nie chodzi o normalną miłość do kraju pochodzenia, pielęgnację języka oraz kultury, lecz o rozbuchaną wściekłość, polegającą na wykluczaniu ludzi o odmiennych poglądach z danego kręgu narodowościowego. Wg Vettera najtrafniejszą etykietą określającą to negatywne zjawisko jest pojęcie populizmu. W tej kwestii autor powołuje się na opinie nauczającego w Princeton niemieckiego politologa, profesora Jana-Wernera Müllera.



Dla tego ostatniego populiści są zawsze i wyłącznie antypluralistycznymi ludkami, szermującymi z upodobaniem wyłącznym – ekskluzywnym prawem reprezentacyjnym, bazującym przede wszystkim na podstawie roszczeń o genezie pseudomoralnościowej. Zasadniczym wyznacznikiem tego rodzaju nastawienia jest dla obu autorów przede wszystkim obskurantwo kręgów nacjonalistycznych, a nie właściwe rozpoznanie panującej sytuacji.

Vetter jest przekonany, że w rezultacie nabycia władzy przez Prawo i Sprawiedliwość, w Polsce odbywa się konserwatywna, zaaranżowana odgórnie rewolucja, dokładniej rzecz ujmując „rewolucja konserwatywna”, której inicjatorzy radykalnie depczą oraz łamszą zasady europejskiej myśli konstytucyjnej.

Zwycięstwo wyborcze Andrzeja Dudy było, zdaniem autora, zaskoczeniem dla znawców polskiej sceny politycznej. Wspierając się o statystyki, Vetter udowadnia, że to raczej ta mało inteligentna oraz niezbyt wykształcona część społeczeństwa polskiego zwróciła się ku Andrzejowi Dudzie. Autor stwierdza ponadto, że prawie dziewięć milionów Polek oraz Polaków żyje w całkowitej biedzie i ponadto wiele innych osób nie stać na zakup wspaniałych towarów, nęcących ich ze sklepowych wystaw, których przecież bardzo pragną. I tak, wg autora, 30% społeczeństwa polskiego głosi hasło: „mamy dosyć tego” (strona 19 publikacji) i ten pogląd (a raczej frustracja) przerodził się w konsekwencji w hasło wyborcze na rzecz Andrzeja Dudy.

Zasadniczo większość wyborców PiS i Dudy to są ludzie uwzględniający przede wszystkim zawartość swego brzucha oraz portfela. Zatem to m.in program 500 plus przysporzył Dudzie elektoratu, przy czym Vetter stwierdza dobitnie, że w wielu przypadkach te właśnie środki finansowe zostały zmarnowane przez ich adresatów na zakup gier komputerowych, alkohol, a nie na urzeczywistnienie realnych potrzeb dzieci. To stwierdzenie autora jest bardzo brutalnym wyrokiem oraz prymitywnym atakiem en face skierowanym przeciwko elektoratowi Dudy (nie pierwszym i nie ostatnim atakiem zawartym w jego publikacji), niepodbudowanym w wywo-

Nacjonalizm w Polsce – na Wschodzie bez zmian

◀ dach Vettera, który skądinąd lubi wspierać się o statystyki, żadnymi konkretnymi źródłami. Zatem znowu pojawia się tu orbita twardego determinizmu gospodarczego z marksistowską, niezmienną mantrą: „byt kształtuje świadomość”. Tak jak w kwestii przekonania, że społeczeństwo polskie pragnie pewnych, określonych towarów i brak pieniędzy na ich zakup wiąże się z degradacją, tak też autor wyjaśnia, że w okresie rządów Platformy Obywatelskiej w Polsce się rozwinęła medycyna dwuklasowa, tzn. ta prywatna, czyli lepsza oraz państwowa, czyli niedoposażona, niewydajna, o złej jakości ze skorumpowanymi pracownikami. Tu na marginesie: warto byłoby zapoznać personel medyczny wszystkich szczebli, pracujący w placówkach państwowych z opiniami Vettera. Czy oni także podzielają jego opinie, że pracują byle jak, że ich placówki są zaniedbane i że są skorumpowani? Tu raczej chciałoby się zastosować prostą maksymę i z uśmiechem skomentować poglądy Vettera: nie wszystko, co błyszczy jest złotem. Nie zawsze tam, gdzie na powitanie serwuje się pacjentowi kawę, następują poprawne i wykwalifikowane kroki medyczne. Ale jako rezydentowi w Polsce, należy autorowi życzyć, aby na własnej skórze doświadczył dobrodziejstw tej „medycyny dla lepszych”.

W toku swoich wywodów Vetter przywołuje pojęcie „gospodarki polskiej” (polnische Wirtschaft) jako zbioru poczynań kumulujących niechlujstwo, lenistwo i brak organizacji oraz, z poczuciem względnej satysfakcji, stwierdza, że te wybryki ustąpiły miejsca gospodarczemu wzrostowi. Zatem pytanie do autora: w jaki sposób i w jakiej proporcji przekłada się ten ewidentny wzrost oraz ekonomiczna stabilizacja w Polsce na jej uczestników, czyli siły produkcyjne, które nadal w większości, jak sam stwierdza, pozostają w bardzo niskim sektorze płacowym?

Drażliwe kwestie gospodarcze, jak np. zagadnienia związane z procesem transformacji ekonomicznej, traktowane są zresztą przez autora marginalnie i bardzo pobieżnie.

Jako najbardziej radykalne ugrupowanie uplasowało się PiS także w kwestii debaty na temat problemu uchodźców, migrantów, azylantów – tak twierdzi autor omawianej publikacji. Jedyne ultrapravicowe odłamki polskiego społeczeństwa, które przecież i tak jako zaścianek Europy, nie ma kontaktu z cudzoziemcami pozaeuropejskimi, głoszą intensywniej nienawiść przeciw

mużulmanom (Hass auf Muslime), aniżeli czyni to Jarosław Kaczyński. Społeczeństwo polskie jest wg autora prześląknięte nietolerancją, głodem materialnym oraz antysemityzmem. Antysemityzm szalał w Polsce międzywojennej, natomiast w czasie II wojny światowej oraz potem dochodziło na jej obszarze do regularnych pogromów. Jeżeli Polacy pomagali Żydom w czasie okupacji niemieckiej, to czynili to przede wszystkim z pobudek finansowych. Ogólnie, w przekonaniu autora, to względy materialne są najczęściej siłą napędową większości społeczeństwa w Polsce. Wg autora książki, Jarosławowi Kaczyńskiemu oraz jego partii chodzi nie tyle o przebudowę systemu polegającą na usunięciu zalegającej na wielu szczeblach kadry postkomunistycznej, lecz na wygryzieniu sprawdzonych oraz kompetentnych osób i zastąpieniu ich na wielu szczeblach administracji państwowej (i nie tylko) własnymi, często nieudolnymi funkcjonariuszami. Już bezpośrednio po objęciu władzy, rząd Beaty Szydło próbował osłabić poszczególne ciała, czyli Trybunał Konstytucyjny w stosunku do gremium ustawodawczego oraz wykonawczego. Walka o Trybunał Konstytucyjny zostaje przez Vettera szczegółowo przedstawiona w jej mozolnie kontynuowanych etapach i autor opowiada się tu ewidentnie po stronie opozycji. W tej kwestii także prezydent Andrzej Duda jest wg Vettera pozbawiony skrupułów. Ogólnie rzecz biorąc, zarówno Kaczyński, jak i jego współpracownicy partyjni



mają zaburzony stosunek do kwestii związanych z podziałem władzy oraz z pojęciem władzy państwowej jako takiej. To ostatnie stwierdzenie jest sformułowane przez autora jak swego rodzaju diagnoza (może doświadczonego psychiatry?), szczególnie uwzględniająca osobowość Jarosława Kaczyńskiego oraz jego problemy.

Kolejnymi przewinieniami reżimu Kaczyńskiego jest, wg Vettera, podporządkowanie mediów celom propagandowym PiSu. Przeprowadzane upaństwowienie tychże ma służyć usprawnieniu ich działania, polegającemu na skuteczniejszym

szerezeniu nacjonalistycznej propagandy i rozpowszechnieniu takiej wersji prawdy, którą akceptuje PiS. Uwypukloną, negatywną rolę w kształtowaniu życia kulturalnego w Polsce odgrywa Minister Kultury - Piotr Gliński.

Vetter wyraźnie podkreśla, że repertuary istotnych teatrów, takich jak np. Teatr Polski we Wrocławiu były monitorowane oraz poddane dyskusji publicznej. Niestety autor zapomniał nadmienić, choćby jednym słowem, skandal związany z wystawianiem sztuki Elfriede Jelinek „Śmierć i dziewczyna” („Der Tod und das Mädchen”). Minister Gliński uzasadniał przecież negatywne nastawienie do tego spektaklu faktem, że miała się tam pojawić pornografia, która byłaby finansowana z publicznych środków zasadniczo przeznaczonych na kulturę, a nie na pornografię.

Autor zapomniał również wspomnieć, w swej batalii przeciwko Ministrowi Kultury, że protesty środowisk katolickich (i nie tylko) towarzyszyły wystawianiu tej sztuki.



Tę sprawę Vetter wyeliminował całkowicie ze swej książki, choć na pewno jako rodowity Austriak, pochodzący z niewielkiej miejsciny położonej przy granicy czeskiej, doskonale zna sylwetkę Elfriedy Jelinek, doskonale ukorzenionej w austriackim środowisku literackim – jej pozycję, sławę, polityczne upodobania oraz percepcję noblistki.

Vetter w ogóle unika jak ognia tematów związanych z zagadnieniami seksualnymi, płciowymi i gender. Natomiast istotne jest dla niego podkreślenie okoliczności, że zarówno PiS, jak i PO są partiami iście konserwatywnymi, które za rodzinę uznają związek kobiety i mężczyzny, a nie inne związki oraz opierają się nie tylko w tej kwestii o kulturę chrześcijańską.

Tej puszki Pandory, którą są zagadnienia związane z nastawieniem poszczególnych ugrupowań politycznych do kwestii seksualnych, autor nie chce tykać i niepotrzebnie osmalać sobie nosa liżącym dymem, ewentualnie się ulatniającego z lekko-myślnie otwartej szkatułki. W innym przypadku, gdyby to uczynił, nieco się zachwiałyby jego konstrukcja. W konsekwencji m.in. śmiało może dalej dążyć temat tzw. „polskiego katolicyzmu”, który w gruncie rzeczy nie jest już dla niego religią, lecz po prostu doktryną o charakterze ideologiczno-ultranacjonalistycznym, wykorzystywaną umiejętnie przez PiS, jego funkcjonariuszy oraz resztę «bandy», czyli jego zwolenników. W sferze kultury wg Vettera PiS oraz jego rozjuszony



◀7 Minister Kultury akceptują wyłącznie panegiryków, Boże broń, nie dopuszczając do głosu jakichkolwiek pamfletistów. Ta sprawa ze sztuką Elfriedy Jelinek rozchwiewa nieco tę tezę, tym bardziej, iż autor się uskarżał na dyskryminujące zwolnienie dziennikarki Karoliny Lewickiej, dyskutującej m.in. na powyższy temat z Ministrem Piotrem Gliškim (Polska, anno Domini 2015).

Według Vettera, Platforma Obywatelska wyznaje w gruncie rzeczy to samo credo, co PiS - czego więc chcą ci szalejący, omamieni, ultranacjonalni zwolennicy PiSu, a może nawet nie oni sami, lecz ich partia? Oni sami są bowiem jako elektorat zbyt prymitywni, aby móc intelektualnie ogarnąć oraz sprecyzować swoje poglądy. Jądrzem ich drgań na rzecz takiej bądź innej formacji politycznej są przede wszystkim beneficja finansowe, wyświadczone na rzecz przeciętnego obywatela, a także wiernego wyborcy.

Taki deal odpowiada elektoratowi PiSu - partii, która za wierność rzuca ogłupiałemu tłumowi finansowe ochłapy, m.in. w postaci programu 500 plus.

PiSowi zarzuca autor omawianej publikacji także uprawianie kontrowersyjnej, bazującej na prymitywnych emocjach polityki, polegającej na penetracji historii Polski jako zaplecza będącego podstawą przerośniętego heroizmu oraz postawy martyrologicznej. Oczywiście z cyniczną ironią podchodzi Vetter do tego zadufania w siebie i swojej roli dziejowej, toczącego światopogląd wielu środowisk w Polsce. Dla niego jest to nic innego, jak kroczenie w aureoli glorii, której autentyczność jest i tak problematyczna. Żołnierzy Armii Krajowej walczących w Powstaniu Warszawskim, Vetter określa mianem bojowników (die Kämpfer), odmawiając im tym samym adekwatnej nazwy oraz uznania statusu militarnego tej formacji. Jest to semantycznie bardzo istotne i odważnie przyjęte stanowisko autora, które wskazuje dobitnie, iż jest zwolennikiem zrewidowanej wersji historii, co tak często uprawiano już z sukcesem w odniesieniu do państwa polskiego. W kwestii zagadnień związanych z historią, dla Vettera najistotniejszą sprawą była burza rozpętana wobec katastrofy smoleńskiej. Sprawcami tej zadymy są dla niego przede wszystkim Jarosław Kaczyński oraz Antoni Macierewicz. Także przeszłość polsko-ukraińska została w publikacji naszkicowana barwami, którymi posługuje się surowy, przez siebie



samego powołany, sędzia, a jego werdykt wypada niekoniecznie pozytywnie dla strony polskiej: owszem was tam mordowano, ale czy wy byliście bez skazy i bez winy, czy wy także nie podejmowaliście zbrodniczych akcji paramilitarnych przeciwko ludności cywilnej na Ukrainie?

I znowu wg Vettera w atmosferze ideologicznego ogłupienia rolę „mesjasza narodów” toczyły się

spory wokół powstawania w Gdańsku Muzeum II Wojny Światowej. Patronat sprawował tu wg autora zasadniczo tamtejszy Prezydent Miasta, tzn. Paweł Adamowicz, którego działania oraz postawę autor książki darzy niewymowną sympatią. Znowu pojawia się na arenie wydarzeń niezapomniany czarny charakter polskiego widokregu politycznego, czyli Minister Kultury – Piotr Gliški, który ze wszystkich sił naprężył się, starając się przeszkadzać oraz niweczyć chlubny projekt.

To są jednak wszystko drobiazgi dla Vettera – powyżej przytoczone niesnaski. Autor zwraca uwagę na fakt, że w swoich daleko posuniętych manipulacjach oraz eksploataowaniu pojęcia prawdy, politycy PiSu nie wahają się zadawać kłam faktom niepodważalnym oraz udowodnionym. Przykładem jest dla niego sprawa Jedwabnego. Dla Vettera bowiem nie ma wątpliwości, że to Polacy dobrowolnie spalili w Jedwabnem Żydów, a nie, jak sugeruje Jarosław Szarek z IPNu, zostali wykorzystani przez Niemców pod przymusem. Dla Vettera jest to niemające szans stworzenie przez Polaków nowej historii, dopasowanej do określonych potrzeb oraz pragnień tej rozszalałej części społeczeństwa, która nie chce dobrowolnie zaakceptować wyroku o swojej wredności. W powyższym kontekście pojawia się ponownie opinia o finansowych pragnieniach stojących za poczynaniami ratunkowymi wyświadczanymi przez ludność polską na rzecz Żydów. Pecunia non olet – to jest dla Vettera siła napędowa myślenia oraz podejmowania decyzji wśród popleczników także i teraz panującego w Polsce «systemu jednowładzy PiSu». Przekonanie o tym, że ktoś kiedyś, gdzieś działa z pobudek finansowych właściwie zasadniczo dominuje myślenie autora

Nonsensem jest dla Vettera uporczywe twierdzenie, że Okrągły Stół w roku 1989 był jedynie szczwanym, pozakulisowym targiem między postkomunistami zrzeszonymi wokół Aleksandra Kwaśniewskiego oraz autentycznymi, demokratycznymi opozycjonistami. Dla Vettera jest to rodzaj teorii spiskowej, której ożywianiem oraz umacnianiem zajmują się w Polsce konserwatyści.

Gospodarka w erze reżimu PiSu przywdzieje wg Vettera także oblicze nacjonalistyczne: wzmocnienie wpływu państwa na jej kształt, zastosowanie pewnych elementów „lewicowych”



w jej napędzaniu oraz wdrożenie planu Mateusza Morawieckiego – to są te zasadnicze znamiona poczynañ z nowej fali działań. Autor absolutnie nie odnosi się w żadnym zdaniu swojej książki do kwestii stosunku rządu polskiego do Nord Stream 2, do poczynañ związanych z istnieniem Grupy Wyszehradzkiej, do planów wokół powstania Via Carpatia, do koncepcji Trójmorza. Te tematy są dla Vettera zarówno kwestiami tabu, jak

i niegodnymi uwagi precedensami bez znaczenia. „Repolonizacja” (Repolonisierung) jest jedynie śmiesznym postulatem tego reżimowego rządu, a jej nieudane wdrażanie może doprowadzić do wypłoszenia z terenu Polski nobliwych, rzetelnych, uczciwych, porządnie działających oraz gospodarnych inwestorów z zachodniego świata, którzy przeciw w swojej charytatywnej akcji pokazali rozhukanej, polskiej gawiedzi, jak się porządnie pracuje, jak wygląda dobry towar i produkt oraz jak się dobrze wynagradza polskiego pracownika. Kaczyński oraz funkcjonariusze PiSu profitują zdaniem autora z uprawiania nieokiełznanej polityki krytyki wobec poczynañ Unii Europejskiej – najwymowniejszym przykładem jest tu krytyka polityki Unii w odniesieniu do fali uciekinierów oraz migrantów.

W podsumowaniu swojej pracy autor wysuwa postulaty, których realizacja mogłaby uzdrowić sytuację w Unii Europejskiej. Także tutaj Vetter piętnuje trwonienie środków finansowych praktykowane przez struktury decyzyjne. Ponadto Vetter sugeruje, że tzw. społeczeństwo cywilne (które notabene w jego wersji bardzo zająbia się o marksistowskie „społeczeństwo obywatelskie”) powinno wziąć sprawy w swoje ręce, przeprowadzając obywatelską kontrofensywę przeciwko czupurnym, rozhulanym złym siłom skupionym wokół Jarosława Kaczyńskiego oraz jego podstępnych macherów, których, gdyby autor mógł, zapewne chętnie określiłby epitetem majchrów.

Z punktu widzenia narracyjno-epickiego, od którego Vetterowi niestety nie udaje się uciec, jego praca, gdyby nie były to tematy istotne, dzierzące terazniejszość egzystencjalno-kulturową milionów ludzi w Polsce (i nie tylko), mimo wysiłków autora na poruszanie się w sferze naukowo-dziennikarskiej dysputy, przybiera rysy wielowatkowego politycznego thrillera, flirtującego z uznanym Alfredem Hitchcockiem lub akcjonistycznym Bondem, a raczej jego twórcą - Ianem Flemिंगiem. Kaczyński z powodzeniem odgrywa tutaj rolę legendarnego „Numer 1”, tzn. Ernesta Stavro Blofelda, który upierścienioną łapą, głaszcząc kota, niezmiennie próbuje zdetonować cywilizowany i uporządkowany świat. PiS to jest jego organizacja, czyli Spectre. No i jeżeli kot jest rudy, to będzie całkiem kiepsko... Oczywiście autorowi daleko do tamtych utalentowanych mistrzów gatunku...

Zamiast realnych, rzetelnych oraz niezawisłych poglądów i konstruktywnych wniosków, autor zaserwował powieść grozy, osadzoną w środowisku marksistowskim, wg przekonań którego niezmiennie i wyłącznie byt kształtuje świadomość.

Nota biograficzna: **Reinhold Vetter**, rocznik 1946, pochodzi z Austrii. Zasadniczo był inżynierem miernictwa, a po ukończeniu politologii został korespondentem niemieckiego ARD m.in. w Warszawie. Aktualnie rezyduje zarówno w Warszawie, jak i Berlinie.

◀ s.5



Dwór w Nowej Wsi z końca XVIII w. dzierżawiony przez por. Ignacego Bogustawskiego. Dziś nieistniejący. Foto. „Wieś Ilustrowana”, 1911 r.



Nadberezyńcy...



Niecałe dwadzieścia lat później, we wrześniu 1939 roku, okazało się, że przegrała Polska. A skutki tamtych błędnych decyzji trwają do dziś.

Tak więc świętując odzyskanie niepodległości, pamiętajmy o nich, Polakach porzuconych na Kresach. Bo, jak napisała w swoich wspomnieniach z lat wojny, okupacji sowieckiej i niemieckiej a następnie syberyjskich łagrów Grażyna Lipińska, mieszkanka Grodna, szefowa wywiadu Armii Krajowej (Wachlarza) na Wschodzie, m.in. na Mińszczyźnie, przytaczając słowa Mickiewicza z „Dziadów”: „Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie”.

Fotografie z zasobów Piotra Stankiewicza

Lektura obowiązkowa:

Florian Czarnyszewicz, „Nadberezyńcy”;

z recenzji: Czy wiesz, że dziesięć lat temu wyszła książka po polsku w Argentynie, o której boję się ci pisać w za dużych superlatywach, bo tak namiętnie ją pokochałem. Pisana przez zagrodowego szlachcica z nad Berezyny. Język słowotwórczy, dźwięczny, półbiałoruski. Konkretność wizji, miłość ziemi, drzew, chmur, obok której Reymont sztuczny jest i zimny, obok której myśleć można tylko o »Panu Tadeuszu«. [...] Wierz mi, ta książka, nad którą z Marysią jak stare osły płaczemy, zostanie i będzie świadczyć o tamtej Atlantydzie – Józef Czapski w liście do Jerzego Stempowskiego, 1953 r. **Czesław Miłosz** zaś stwierdził: Wystarczyło jednej stronie, ażeby uległ wpływowi tego narkotyku i przeczytał jednym tchem 577 stron dużego formatu... W powieści Czarnyszewicza są »Krzyżacy«, »Potop«, i »Pan Tadeusz« równocześnie. Bohaterowie trochę zbiednieli od czasów Polski szlacheckiej. Książkę uznawał za „nieporównany rysunek obyczajów”, doskonalszy od „Chłopów” Reymonta”.

Jędrzej Giertych pisał: Polska szlachta zagrodowa ma w literaturze szczęście. Po Dobrzyńcu z »Pana Tadeusza«, po Laudzie z »Potopu«, po Bohatyrewiczach z »Nad Niemnem«, otrzymujemy czwarty pomnik: Czarnyszewicza Smolarnię.

Michał Kryspin Pawlikowski wychowany w majątku Pućków za Berezyną pod Bobrujskiem pisał: Jak »Cichy Don« jest eposem kozactwa w okresie pokoju i wojny, tak »Nadberezyńcy« są eposem szlachty zagrodowej, której mnogie setki tysięcy rozsiane były jeszcze przed 30 laty – w zaściankach, zagrodach, futorach i »okolicach« – w dorzeczach Berezyny, Ptyczy, Druci i Dniepru. Nie zawaham się użyć jeszcze mocniejszego porównania: »Nadberezyńcy« – to »Wojna i Pokój« naszych polskich kresów [...] Porównanie »Nadberezyńców« z »Wojną i Pokojem« robię nie tylko bez wahania, lecz z naciskiem. Czarnyszewicz – pisarz-samouk – nie dorósł, oczywiście, ani do mrozących krew, zawrotnych wyżyn tołstojowskiej myśli filozoficznej, ani do maestrii stylistycznej Tołstoja, tej maestrii, którą w prostocie ducha nazywamy – prostotą stylu... Ale: plastyczność i wstrząsająca prawda psychologiczna typów ludzkich – wartki, żywy, przykuwający, choć pozbawiony wszelkich tricków tzw. intrygi, tok opowieści – wreszcie piękny język, brzmiący odświeżająco dla uszu, nawykłych do hegemonii »oficjalnej« nieco zmasurzonej (czy może skrakowiałej) polszczyzny – wszystko to stawia książkę Czarnyszewicza na poziomie pierwszorzędnych arcydzieł eposu polskiego. ■

Asymetryczne relacje polsko-niemieckie na Mapach Google

Michał Borun

Dbając o wysoki stopień standaryzacji i obiektywizacji map, służby kartograficzne wypracowały przez lata zaufanie użytkowników. Globalny produkt „Mapy Google” korzysta z tej estymy – czy jednak słusznie?

Do zadania tego pytania skłaniają rozbieżności w prezentacji nazw miejscowych w polskiej i niemieckiej wersji językowej Map Google.

Wielojęzyczność nazw miejscowych

Nazwy obiektów geograficznych w językach mających na danym obszarze status oficjalny to „endonimy” – „egzonimy” zaś to różniące się od nich nazwy w pozostałych językach. Egzonimami są więc np. „Warschau”, „Danzig”, „Krakau”, „Posen” czy „Stettin”, obecne wśród pierwszych nazw, które zobaczy niemieckojęzyczny użytkownik Map Google, przybliżając widok Polski. Dla miast bez utrwalonego niemieckiego odpowiednika nazwy ujrzy natomiast endonimy – takie jak: „Białystok”, „Łódź” czy „Rzeszów”. Co ciekawe jednak, w Mapach Google na tych dwóch grupach się nie kończy – obok pojawi się bowiem „Wrocław”. Zaskakuje nie tyle brak polskiego znaku diakrytycznego, gdzie indziej obecnego, co fakt, że nie użyto utrwalonego niemieckiego egzonimu miasta – „Breslau”. Nasuwa się pytanie, czy w odniesieniu do nazw miejscowych edytorzy Map Google (którymi jest szeroka społeczność użytkowników Internetu) kierują się spójnymi zasadami i czy są one jednakowe dla różnych wersji językowych.

Wytyczne międzynarodowe

Od przełomu lat 60. i 70. Organizacja Narodów Zjednoczonych prowadzi prace nad międzynarodową standaryzacją nazw geograficznych. Uznano, że egzonimy są częścią dziedzictwa kulturowego i powinny być zachowywane, o ile są utrwalone i powszechnie używane. Za niepotrzebne uznano natomiast te z nich, które powstały sztucznie, nie są znane lub wyszły z użycia.

Konferencje ONZ w sprawie Standaryzacji Nazw Geograficznych zaleciły narodowym organom nazewniczym przygotowanie wykazów stosowanych egzonimów. Taka polska lista w wersji z 2013 r. zawiera ponad 13 tys. polskich egzonimów, z czego na terenie Niemiec około 200 (w tym 37 miast). Na liście egzonimów języka niemieckiego z 2002r. znajduje się ok. 500 niemieckich egzonimów, z czego 64 na terenie Polski (w tym 49 miast).

Wyniki badania

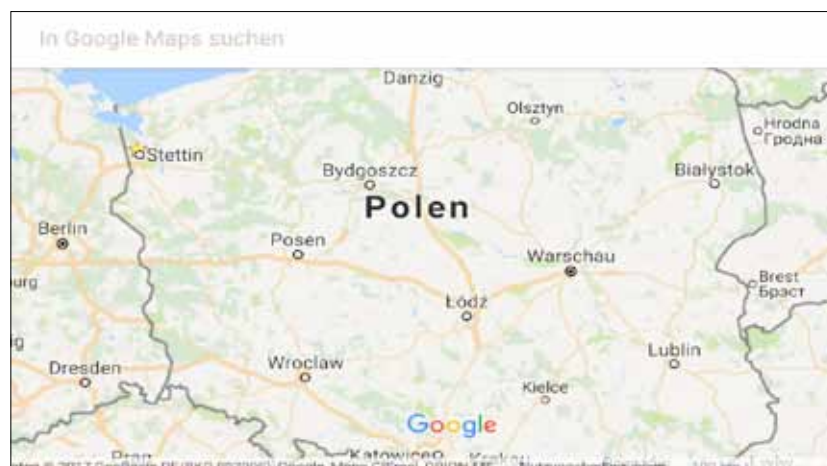
Badaniu poddano nazwy miast w Niemczech w polskojęzycznej wersji Map Google, a w wersji niemieckojęzycznej – nazwy miast w Polsce (odpowiednio: 37 i 49). Dla każdej miejscowości z danego wykazu egzonimów sprawdzono, czy jej nazwa odpowiada tej występującej na mapie. Opis procedury badawczej, uwarunkowań i ograniczeń wniosku oraz spis literatury Czytelnik

znajdzie w opublikowanym w 42. numerze „Folia Turistica” artykule pt. „Przyczynek do badań nad wielojęzycznymi nazwami miejscowymi na mapach internetowych” (dostępnym także na stronie borun.info).

Odnotowano istotną rozbieżność dla obu badanych domen: zgodność z krajowym wykazem egzonimów wyniosła 100% dla nazw polskich w Niemczech oraz 46% dla nazw niemieckich w Polsce. Stuprocentowa zgodność oznacza, że na mapie występują wyłącznie te egzonimy, które zalecane są przez daną komisję – wszystkie z nich i żadne inne,

my występują dopiero na dodatkowych mapach specyficznych dla danego języka, o ile takie się pojawiają. Takiej polskiej wersji nie ma, natomiast niemiecki użytkownik mapy może jednym kliknięciem zmienić jej wersję podstawową na „niemiecki styl” („deutscher Stil”), czyli wersję mapy, na której wybrane endonimy zastąpione zostają przez niemieckie egzonimy.

Rozwiązanie to można uznać za pewną formę realizacji jeszcze jednego zalecenia Konferencji ONZ: aby w publikacjach, na mapach i w innych dokumentach pojawiały się nazwy



bowiem pozostałe odnotowane nazwy są formami rodzimymi (endonimami) miast nieujętych w wykazie.

Próba wyjaśnienia

Uzyskanie tak różnych wyników skłania do uznania, że w zakresie nazw miejscowych edytorzy Map Google kierują się odmiennymi zasadami w różnych krajach – przynajmniej w Polsce i Niemczech. Może to być przykładem niekonsekwencji serwisu Google, ale także funkcjonowania odmiennych zasad w obu krajach. Rzeczywiście, zarówno wykazy egzonimów, jak i ich twórcy okazują się mieć różny status. Polska komisja odradza stosowanie egzonimów spoza listy (co czyni jako agenda rządowa) – niemiecka zaś (będąca jedynie ciałem doradczym) wyraźnie stwierdza, że tego nie odradza. Jednocześnie to jednak sam Google nie zapewnił warunków do równorzędnego traktowania użytkowników różnych narodowości. Konkurencyjny społecznościowy serwis mapowy Open Street Map stosuje bowiem odmienne podejście – i bardziej jednolite, i trafniej realizujące zalecenia ONZ. Na głównej mapie – wspólnej dla wszystkich wersji językowych – prezentowane są jedynie nazwy urzędowe w języku danego obszaru (endonimy). Egzoni-

geograficzne zgodne z zasadami narodowej standaryzacji (endonimy), a tylko w uzasadnionych przypadkach, dodatkowo, egzonimy – z zaznaczeniem ich podrzędnej roli (co na mapach drukowanych oddaje się przeważnie mniejszą czcionką i nawiasem).

Na Mapach Google pojawia się natomiast domyślnie tylko jedna nazwa z pary endonim–egzonim. Uznawszy, że nazwy miejscowe są tak samo przetłumaczalne „jeden do jednego” jak funkcjonalne i opisowe określenia typu „urząd miasta” czy „komisariat policji”, Google sugeruje użytkownikowi, jakoby w jego serwisie mapowym następowała jedynie techniczna czynność zamiany stałych treści, w jedyny możliwy sposób i na podstawie obiektywnych kryteriów.

Tak się jednak nie dzieje. Wpływ na treść Map Google będą miały bowiem rozmaite podejścia, nastawienia, przekonania, wrażliwość (czynniki subiektywne) czy po prostu wiedza, i oczywiście liczba (czynniki obiektywne) społecznych edytorów Google z różnych krajów. Wreszcie mniej lub bardziej zdecydowana narracja narodowa, której być może ulegną, może prowadzić do zgoła odmiennych interpretacji tych samych faktów.

Wyprawa trzemeszeńska

ku pamięci Romana Kencera i jego towarzyszków

Jacek Kowalski

Wielkopoleanie na drodze ku Niepodległości

Powiada się, że Wielkopoleanie nie robili powstań, bo wybierali pracę organiczną; albo, że nie brali broni do ręki, dopóki nie widzieli szansy na sukces; i że dopiero kiedy szansa przyszła, zrobili powstanie wielkopolskie – i wygrali.

Fałsz.

Wielkopoleanie brali masowy udział we wszelkich beznadziejnych powstaniach, niemających szansy na sukces, albo przynajmniej takowe współorganizowali. A prym wiodli w tym procederze właśnie wielkopolscy „organiczni”. Dlatego też zgoda tylko co do jednego: że powstania (bądź udział w takowych) organizowali Wielkopoleanie porządniej i częściej niż inni, począwszy od konfederacji barskiej, przez lata 1794, 1806, 1830, 1846, 1848, 1863 – aż po rok 1918.

Lekcja Homera

W roku 1863 funkcjonowały w zaborze pruskim jedynie trzy gimnazja katolickie uważane za „polskie” – z dominującą, rodzimą kadrą profesorską i takimiż uczniami: w **Poznaniu (św. Marii Magdaleny)**, **Ostrowie** i **Trzemesznie**

We wszystkich tych szkołach działały tajne młodzieżowe organizacje.

W tydzień po wybuchu powstania styczniowego „przyszedł rozkaz od komitetu narodowego z **Gniezna**”, żeby w Trzemesznie „stu gimnazystów było gotowych do wymarszu” (zaznaczmy, że Trzemeszno leżało wówczas nieopodal granicy zaboru rosyjskiego). Na czele gimnazjalnej konspiracji stanęli dwaj starsi uczniowie: **Aleksy Szalkowski** (ten miał wkrótce zginąć) i **Władysław Chotkowski** (w późniejszych latach ksiądz, zasłużony historyk Kościoła, profesor i rektor UJ, którego wspomnienia cytuję powyżej i poniżej). Rozważni młodzieńcy zakwalifikowali do oddziału tylko 60 kolegów, wykluczając najmłodszych, i to wbrew niektórym profesorom (!), zgorszonym, że „nie wszyscy pójdą”. Z trudem zgromadzili nieco broni i elementy umundurowania, które skutecznie ukryli przed pruskimi władzami. Wymarsz wyznaczono na sobotę **28 lutego** po południu.

Rano starsze klasy miały jeszcze lekcję greki.

Chotkowski wspomina:

Czytaliśmy V księżkę Iliady i właśnie na tę sobotę przypadał ustęp, w którym Diomed tak srodze walczy, że nawet zranił Minervę, a klnie, aż liście z drzewa się sypią. Niezmiernie mi te bohaterskie czyny przemawiały do serca, a przede wszystkim postanawiałem sobie nie szczędzić Moskałom

takich homerycznych wyzwisk, skoro ich tylko zobaczę, a przecież już po południu wybierałem się w drogę.

Roman Kencer pisat:

Kochani Rodzice!

Miłość Ojczyzny przemogła w mem sercu miłość rodziców, i dla tego pomimo wszelkich Twych przestroż, najdroższy Ojczy, udaję się w podróż do braci naszych w Królestwie, abym i ja dołożył się mą prawicą i dopomógł im ku wyswobodzeniu się z pod

się zacząć bitwa. Trzemeszniacy stawiali dzielnie, ale pod Mieczownicą i Dobroszłowem doszło do klęski. Ci, którzy ocalili, pod osłoną nocy znów przekroczyli granicę, tym razem w przeciwnym kierunku. We wtorek większość gimnazjalistów dotarła na powrót do swojej szkoły usiłując udawać, że nigdzie nie wychodzili.

Chotkowski pisze:

W środę rano byliśmy w kościele – jak zwykle – na Mszy Św., a kiedyśmy wracali z kościoła rzędami, stało kilku ojców i krewnych przypatrując się, czy nie



Fotografia wielkopolskich weteranów roku 1863 wykonana w Poznaniu w 50 rocznicę powstania, 22 I 1913, należąca zapewne do Kazimierza Gierlińskiego, powstańca z Kórnika (trzeci od prawej w drugim rzędzie od dołu), przechowywana przez kolejne pokolenia rodzin Gierlińskich, Pohlów i Nogajewskich. Dziękuję pani Elżbiecie Nogajewskiej z domu Pohl za umożliwienie zreprodukcji tej cennej pamiątki.

Repr. Mikołaj Potocki

jarzma moskiewskiego. Przepraszam Cię stokroć, drogi Ojczy, że bez Twego pozwolenia uczyniłem i zaklinam Cię i proszę na Boga, daruj mi to, i udziel mi Twoje Ojcowskie błogosławieństwo. [...]

Dwa dni i dwie noce

Po południu, zmyliwszy czyhające na nich wojsko pruskie, przeszli granicę. Późną nocą, po kilku milach wyczerpującego marszu, dotarli do „partii” **płk. Kazimierza Mieleckiego** w lasach Kazimierskich pod Koninem.

Zdrożeni, pokładli się spać, ale wnet obudził ich alarm. Nadchodzili Rosjanie. Niesnaski w dowództwie rozdzieliły oddział właśnie wtedy, kiedy miała

zobacz swoich synów. [...] Niestety, [...] poszło nas 60, a wróciło 48, czyli 12 poległo. [...] od godziny dziesiątej do jedenastej [przypadała znowu] lekcja Homera i powtarzaliśmy ten sam piękny ustęp z V księgi Iliady, który czytaliśmy w przeszłą sobotę. – Jakże teraz odmienne robił na mnie wrażenie! Czasy się zmieniły, kochany Homerze, pomyślałem sobie.

[...] nie chciałbym [jednak] we wspomnieniu tem, poświęconem moim towarzyszom, co za ojczyznę tak młodo polegli, pominąć milczeniem tego, że oficerowie rosyjscy powróciwszy z pod Dobroszłowa do Kalisza, nie mogli się nadziwić odwadze, z jaką chłopcy szkolne szły w ogień.



XVIII-wieczny budynek Gimnazjum, w którym znajdowała się stacja Władysława Chotkowskiego i skład broni powstańczej.

Polak został symbolem brytyjskich sił powietrznych

Kajetan Soliński



Z okazji 100-lecia RAF-u w 2018 r. otworzona zostanie w Londynie jubileuszowa wystawa, podczas której nastąpi odsłonięcie pomnika „pilota wszechczasów”, wyłonionego w konkursie. Wytypowanych zostało 11 kandydatów, którzy latali na samolotach Spitfire, a wśród nich Polak – Franciszek Kornicki. Pod koniec września br. ogłoszono rozstrzygnięcie plebiscytu

zorganizowanego przez brytyjskie Muzeum Królewskich Sił Powietrznych i dziennik „The Telegraph”. Nasz rodak zwyciężył – choć słowo zwyciężył nie oddaje w pełni tego co się stało. Otrzymał 60 razy więcej głosów niż znajdujący się na drugim miejscu Brytyjczyk i 16 razy więcej niż wszyscy kandydaci razem wzięci!

Pospolite ruszenie – czyli jak potrafią zorganizować się Polacy

Pomysłodawcy plebiscytu przyznali, że nie spodziewali się takiej reakcji i zaangażowania ze strony polskiej społeczności, a ostateczny wynik przerósł ich wszelkie oczekiwania. Włączenie się w akcję głosowania tak licznych rodaków majora Kornickiego, nie tylko tych mieszkających w Wielkiej Brytanii, ale także w Polsce i wielu innych krajach na świecie, wprawiło wyspiarzy w nie lada osłupienie. Wiść o konkursie błyskawicznie rozeszła się po mediach społecznościowych. W nagłośnieniu kandydatury pilota znad Wisły pomogły też: polska ambasada w Londynie, polska telewizja publiczna oraz wiele polskich i polonijnych organizacji i stowarzyszeń.

Na efekt nie trzeba było długo czekać – Pan Franciszek otrzymał ponad **325 tys. głosów, czyli aż o 60 razy więcej niż znajdujący się na drugim miejscu Brytyjczyk!** Polacy przystąpili do działania z taką energią, że osiągnięty wynik był 16 razy wyższy niż suma wszystkich głosów oddanych na dziesięciu pozostałych kandydatów. W ten sposób nasz rodak został wybrany głównym bohaterem wystawy z okazji **100-lecia RAF-u**, która zostanie otwarta w 2018 r., a jego naturalnych rozmiarów rzeźba stanie w budynku muzeum w Londynie.

Organizatorzy o zwycięstwie Polaka

Inicjator konkursu, **Peter Devitt**, w wywiadzie udzielonym polskim mediom potwierdził, że nie spodziewał się aż takiej mobilizacji Polaków:

– Wziąłem pod uwagę, że imigranci – zarówno przybyli tu w latach 40. minionego wieku, jak i ci późniejsi, dobrze znają tę historię. Ale nie miałem pojęcia, że reakcja będzie tak mocna również nad Wisłą. Bardzo nas to cieszy. (...) Przekonaaliśmy się, że Polacy są bardzo dumni ze swej historii, znają swe dziedzictwo i są niezwykle zaradni. To dlatego **major Kornicki** wygrywa. (...) Pracuję z polską społecznością od 2001 roku. Mam tam wielu przyjaciół, więc wiem, na co was stać! – poinformował Devitt.

Przedstawiciele brytyjskiego muzeum, komentując rezultat konkursu przyznali, że przewidywali iż wzbudzi on pewne zainteresowanie polskiej

społeczności. Jednak zaangażowanie przerosło wielokrotnie ich najśmielsze oczekiwania, a ostateczny wynik uplasował naszego rodaka daleko poza skalą osiągalną dla reszty kandydatów.

Kontrowersyjne kryteria

W czasie trwania konkursu niejednokrotnie można było spotkać się z krytycznymi uwagami, wskazującymi na bardzo nietypowe wymogi.

Zasady plebiscytu, który został ogłoszony



dla upamiętnienia jubileuszu 100-lecia RAF-u, dopuszczali bowiem tylko i wyłącznie kandydatury pilotów latających na myśliwcach Supermarine Spitfire.

Ten osobliwy punkt regulaminu budził duże kontrowersje m.in. ze względu na fakt, że większość cudzoziemskich batalionów myśliwskich, wspierających Zjednoczone Królestwo podczas **Bitwy o Anglię**, walczyło na samolotach **Hawker Hurricane**. Tyczy się to także znacznej części Polaków – w tym m.in. słynnych **Dywizjonów 302 i 303**, które dostały od Brytyjczyków starsze maszyny – właśnie typu HH. To na nich nasi rodacy odnieśli najwięcej zwycięstw i odwrócili losy bitwy.

Większość jednostek myśliwskich Polskich Sił Powietrznych w UK była dopiero potem, w trakcie kolejnych lat, stopniowo wyposażana w Spitfire'y.

Polski pilot kontra ikona brytyjskiego lotnictwa

Już na samym początku plebiscytu podniosły się też głosy krytyki ze strony Brytyjczyków.

Zwracali oni uwagę nie tylko na dziwne kryteria, ograniczające kandydatów wyłącznie do pilotów Spitfire'a ale także na fakt wystawienia w konkursie **Sir Douglasa Badera**, który uważany jest za jedną z najbardziej rozpoznawalnych ikon brytyjskiego lotnictwa. Uważali, że przez włączenie do plebiscytu takiej postaci nie daje się innym kandydatom żadnych szans.

Jednak, jak się okazało, rozstrzygnięcia, do którego doszło nikt się nie spodziewał. Zresztą podobnie, jak niegdyś, podczas przegrywanej już



przez Brytyjczyków Bitwy o Anglię, też nikt nie domyślał się, że Polacy uratują ich kraj przed niemiecką inwazją, a największa powietrzna batalia II wojny światowej zostanie ostatecznie dzięki nam wygrana.

Historia Pana Franciszka

Franciszek Kornicki urodził się w 1916 r. w Wereszynie w województwie lubelskim. Ukończył Szkołę Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. W sierpniu 1939 r. otrzymał przydział do 162 Eskadry Myśliwskiej w III Dywizjonie Myśliwskim 6 Pułku Lotniczego Wojska Polskiego.

W momencie ataku Niemiec na Polskę, jego eskadra stanowiła część lotnictwa Armii „Łódź”. Była wyposażona w myśliwce **PZL P.7a**. Pchn. Kornicki wykonywał loty bojowe oraz zadania łącznikowe. 13 września eskadrę przeniesiono

Wyprawa trzemeszeńska

s.11 Następnego dnia szkoła w Trzemesznie została zamknięta przez władze pruskie, a część młodzieży a część młodzieży wkrótce ponownie poszła do powstania.

List

W 150 rocznicę trzemeszeńskiej wyprawy byłem na podniosłej akademii w tutejszym liceum.

Podczas uroczystości ujawnił się niespodziewany gość z Chojnic, pan Muzioł, stryjeczny praprawnuk Romana Kencera. Wyszedł na mównicę, wydobyl nieznany nikomu wcześniej list pożegnalny i odczytał go obecnym. Minęło 150 lat i emocje powinny były dawno wygasnąć – a on nie potrafił opanować drżenia głosu. Na pomoc pospieszył nauczyciel historii, który wyjął mu z rąk papier i za niego dokończył lektury: Nie miejcie

o mnie strachu, szczególnie Ty, Najdroższa Matko, bo Bóg o mnie pieczę mieć będzie, albowiem gdy miał odchodzić, wypowiadałem się przed Bogiem przez spowiedź świętą, i krzyżami się obłożyłem. [...] Przyjedź drogi Ojciec, do Trzemeszna, zabierz wszystkie rzeczy i książki dla brata, a gospodyni [stancji] zapłać. I dopisek na karcie:

Poległ 2 III 63

Epilog

Morał tej tragicznej historii dopisał ksiądz Chotkowski w swoich wspomnieniach, które – co trzeba koniecznie dodać – redagował równo

pół wieku po wyprawie, której przewodził, czyli w marcu 1913 roku, w przededniu pierwszej wojny światowej: Od młodzieży można tylko żądać zapału, albowiem na starość każdy człowiek stygnie, więc co by z niego było, gdyby za młodu był zimny? — Lecz od starszych trzeba żądać rozumu, nabytego doświadczeniem, ale niestety, tego właśnie nie mieli ci, którzy powstanie styczniowe wywołali. [...] Lecz wówczas byłem jeszcze za młody na takie refleksje, a musiałem wierzyć w to, że w rządzie narodowym są ludzie ze sercem i głową. Nie moja wina, że było inaczej.

Nie pisałbym tego wszystkiego i nie przerywałbym sobie pracy, która leży przede mną na stole, gdyby nie to, że tu w Galicyi zbroją i mustrują tysiące młodzieży. Więc przychodzą mi na myśl słowa [Waleriana] Kalinki, które powiedział roku 1863, wysłany do króla szwedzkiego. Król go pytał: — jak długo potrwa powstanie? — Moskale strzelają ołowiem, a my drogocennymi kamieniami. — Jak to pan rozumiesz? — spytał król. — U nas — odpowiedział Kalinka — idzie na pierwszy ogień kwiat narodu, młodzież ze szkół i z uniwersytetów, a z tamtej strony idzie gmin najniższy. — Nieszczęśliwy naród! — odpowiedział król szwedzki. Okazało się jednak, że ksiądz Chotkowski nie miał racji. Choć wiele jeszcze „drogocennych kamieni” miało zostać złożonych w ofierze, ofiara nie poszła na marne. Dzięki niej właśnie – obejmując tym zdaniem i trzemeszeńskich gimnazjalistów – Rzeczpospolita miała wkrótce zmartwychwstać.

Tablica pamiątkowa w trzemeszeńskim liceum



Serdzecznie zapraszamy do odwiedzenia kanału Jacka Kowalskiego na youtube.com, gdzie można posłuchać wielu piosenek, a między innymi - inspirowanej opowiedzianą historią - piosenki pt. „wyprawa trzemeszeńska” 1883”.

Asymetryczne relacje polsko-niemieckie na Mapach Google

s.10 W efekcie serwis sprawiający wrażenie integralnego porządku umożliwia istnienie w ramach jednej struktury porządków nawet wzajemnie sprzecznych.

Dalsze implikacje

Nie jest wprawdzie tak, że w badaniu odnotowano wyłącznie przypadki zniemczania polskich nazw miejscowych. Wymowne są sytuacje przeciwne, kiedy to nie zastosowano form znanych i zalecanych, takich jak „Breslau” dla Wrocławia, „Allenstein” dla Olsztyna czy „Bromberg” dla Bydgoszczy. Tym kilku prominentnym i widocznym przykładom towarzyszą jednak o wiele liczniejsze przypadki niemieckich egzonimów mniejszych miejscowości w Polsce, nieujętych w wykazie. Na przykład **urzędowe nazwy miejscowości polskich na Śląsku masowo zastępowane są na niemieckojęzycznych Mapach Google** przez, nierzadko wątpliwe, egzonimy historyczne (o czym za chwilę).

Nic podobnego nie zauważono natomiast w równie dokładnym przeglądzie nazw miejscowości w Niemczech na mapie polskojęzycznej. Analiza historii edycji Map Google pokazała jednak, że takie nazwy były nanoszone przez polskich edytorów, lecz potem wycofywane – jak (w tym przypadku również przez Polaka, po jedenastu dniach): „Branibór”, „Dessa”, „Gardziec” czy „Wkryjście” dla oznaczenia

niemieckich miast: Brandenburg, Dessau, Gartz czy Ueckermünde.

Przykłady te można by uznać za niewspółmierne, jako że to tylko niemieckie nazwy funkcjonowały wcześniej jako urzędowe. Właśnie z tego względu jednak ich użycie wymaga szczególnej ostrożności! Fakt istnienia jakiejś niemieckiej nazwy nie stanowi jeszcze dowodu na jej prawne lub historyczne umocowanie. Po pierwsze: żadna z nich nie będzie dzisiaj miała charakteru urzędowego, jako że nawet nazwy miejscowe w językach mniejszości (dla niemieckiego jest ich obecnie w Polsce 359) nie są nazwami oficjalnymi, lecz tylko dodatkowymi (pomocniczymi) wobec nazw polskich. Po drugie: nazwy miejscowe w językach mniejszości nie mogą nawiązywać do nazw z okresu 1933–45 nadanych przez władze III Rzeszy Niemieckiej lub Związku Sowieckiego. Nietrudno dzisiaj odwołać się do jednej z takich nazw, bezrefleksyjnie szukając „tłumaczenia”. Tymczasem w latach 30 i 40. na ziemiach wschodnich III Rzeszy dokonano zakrojonych na szeroką skalę zmian, sztucznie germanizując nazwy, w których widoczny był słowiański lub pruski (bałtycki) trzon (na samym Śląsku zmieniono wówczas ok. 2000 nazw geograficznych, głównie miejscowości).

Jedną z takich nazw: „Auschwitz”, dopuszczana w związku z tym w Polsce już tylko w odniesieniu do obozu zagłady, znajduje się na oficjalnym wykazie niemieckiej komisji jako egzonim zalecany dla miasta

Oświęcimia. Jest to przykład rozbieżności regulacji krajowych, o której była mowa wcześniej. Wyłącznie w gestii Map Google jest już jednak sytuacja, w której przy niemieckich miejscowościach na Łużycach w ogóle nie pojawiają się obowiązujące urzędowo nazwy w języku lokalnej mniejszości (górnolub dolnołużyckim). W serwisie Open Street Map wszystkie one figurują natomiast łącznie z niemieckimi, oddzielone myślnikiem i w tym samym formacie – czym ukazano ich rangę.

Powtórzmy: na niemieckojęzycznych Mapach Google odmówiono obecności równorzędnym nazwom urzędowym w RFN, zezwalając jednocześnie na powszechne zastępowanie jedynych nazw urzędowych w RP formami o wątpliwej wartości praktycznej, historycznej i prawnej.

Gdyby nie odmienny przykład **Open Street Map**, można by zgadywać, że globalny nieporządek jest konsekwencją globalnego udziału, immanentną cechą Internetu czy ceną, którą trzeba zapłacić za technologiczny postęp. Ale nie jest. Z czego tak naprawdę wynika ten nieporządek – należy konsekwentnie pytać jego twórcę: koncern Google.

Krótką historia kobiecego oddziału sabotażowo-dywersyjnego „Dysk” w Armii Krajowej

◀ s.4 zespoły ujawniające się poprzez czynną walkę. W 1940 r. z inicjatywy **mjr Niepokólczyckiego** utworzono kobiecy zespół minerski na czele z **dr Zofią Franią „Doktor”**. Uważano, że to kobiety będą stanowić podstawę akcji dywersyjnych, gdyż nieraz łatwiej im było wykonać zadanie niż mężczyznom. W ramach zespołu prowadzono szkolenia, które polegały na nauce produkcji i użycia minerskich środków walki oraz organizowaniu patroli, które miały na celu prowadzenie dalszych szkoleń. Kobięce patrole minerskie działały jako jednostka dyspozycyjna **KG ZO** do momentu jej reorganizacji i przekazania do ZO działającego w **Okręgu Warszawskim Armii Krajowej**. Wiązało się to z przesunięciem patroli minerskich i utworzeniem nowego kobiecego zespołu. To zadanie zostało powierzone niezwykle kobiecie, **por. rez. Wandzie Gertz „Lenie”**, która od 1939 roku pełniła służbę konspiracyjną na innych odcinkach pracy SZP i ZWZ. Za jej pośrednictwem powstał kobiecy oddział dywersji i sabotażu „Dysk” w strukturze Polskiego Państwa Podziemnego.

Wanda Gertz, dowódca oddziału „Dysk”, posiadała duże doświadczenie wojskowe. Już od najmłodszych lat była wychowywana w duchu patriotycznym, gdyż jej ojciec, **Jan Gertz**, był uczestnikiem **Powstania Styczniowego**. Swoje dzieciństwo wspomina następująco: „Jako pięcioletnia dziewczynka nie bawiłam się nigdy lalkami, a jedynie żołnierzami, których miałam niezliczoną ilość [...] Moim szczytem marzeń było zdobycie choć stopnia podoficera, by móc nosić kolorową czapkę”.

Jako dziewiętnastolatka odbyła służbę wojskową w **I Brygadzie Legionów**, gdzie spotkała się z pewnego rodzaju rozczarowaniem, gdyż nie otrzymała zgody na uczestnictwo w walkach na froncie wojskowym. Pełna determinacji, postanowiła podać się za **Kazimierza Żuchowicza** i dzięki temu udało jej się wstąpić do jednostki wojskowej i uczestniczyć w walkach nad **Styrem i Stochodem**. W 1919 roku została komendantką batalionu **II Ochotniczej Legii Kobiet w Wilnie**.

Kierownictwo Armii Krajowej przygotowało szereg zadań dla oddziału Wandy Gertz. W przeciwieństwie do oddziału minerskiego „**Franio**”, członkinie „**Dysku**” miały prowadzić różne formy sabotażu, m.in. organizując tzw. „dywersję osobową” oraz w przyszłości angażować się w akcje militarne. Początkowo do oddziału należały **Maria Jankowska „Margerita”, Władysława Macieszyna „Sława”, Jadwiga Szymańska „Wiga”, Hanna Billik „Filipina”** oraz **Maria Zielonka „Zofia”**, która była zastępczynią **Wandy Gertz**. Warto wspomnieć, że „**Lena**” znała je ze swojej działalności w **PWK**. Od 1940 r. do lata 1942 r. w oddziale odbywały się szkolenia w zakresie dywersji i sabotażu kierowane przez **kpt. Jana Kujasa Andrzejewskiego**.

Doświadczone kobiety obejmowały zespoły konspiracyjne, gdzie szkoliły w zakresie dywersji i sabotażu. I tak w ramach oddziału działał trzon „**Starszych Pań**” (w skład którego wchodziła m.in. Lena), a także „**Młodszych Pań**”. Jeśli chodzi o personel oddziału, to komendantką była

Wanda Gertz, jej zastępczynią **Władysława Macieszyna**, dowódcą minerek była **Maria Jankowska**, a dowódcą sabotażu **Józefa Szymańska**. Początkowo oddział znajdował się „na osobnym sznurku” **Związku Odwet** i zajmował się szkoleniami o charakterze minerskim, sabotażowym, sanitarnym, szoferskim, ogólnowojskowym i podchorążackim. W dużej mierze



przeprowadzał akcje sabotażowe, które polegały m.in. na zniechęceniu Polaków do korzystania z kina, teatrów w ramach akcji „Tylko świny siedzą w kinie”. Poważniejsza działalność „**Dysku**” przypada na okres lata i jesieni 1943 r. W tym czasie kierownictwo Armii Krajowej podjęło decyzję o wcieleniu „**Dysku**” jako jednej z grup wykonawczych przy **KG AK**. Była jedynym kobiecym oddziałem wchodzącą w skład jednostki dyspozycyjnej „**Motor**” pod dowództwem Jana Wojciecha Kiwerskiego. Warto podkreślić, iż wszystkie oddziały wchodzące w skład „**Motoru**” składały się w dużej mierze z przedwojennych oficerów i podchorążych, zaś oddział „**Leny**” złożony był z kobiet, które nie posiadały kunsztu wojskowego, a nabrały go już w konspiracji.

W 1942 roku wydano decyzję o włączeniu „**Motoru**” i „**Dysku**” do **Kedywu**, czyli **Kierownictwa Dywersji** w ramach **Armii Krajowej**. Kobięcy oddział „**Leny**” wchodził w skład „**Wielkiej Dywersji**” i jego działalność miała opierać się o akcje minerskie (na torach) i sabotażowe w ramach „dywersji osobowej”. O akcji minerskiej **zw. Odwet**, wspomina **Maria Niepokoczycka „Marta”**:

„Minowanie miałyśmy wykonać o wyznaczonej nam godzinie pod pociągami z amunicją. Tor był podwójny. „Zofia” minowała pod dwoma wewnętrznymi szynami dwóch torów biegnących w przeciwnych kierunkach. Ja zakładałam minę naciskową w odległości stu kroków, w kierunku budki dróżnika, skąd dochodziło naszczekiwanie psa. Zawleczkę przyniosłam „Zofii” jako dowód, że mina jest odbezpieczona. W Warszawie „Zofia” złożyła meldunek, że na naszych minach wykołoił się pociąg”.

W późniejszym okresie ich akcje poszerzyły się o łączność i wywiad bojowy. Integracja „Dysku” z oddziałem „Motoru” zawiązała między nimi strukturę elitarniej jednostki dyspozycyjnej warszawskiej „dywersji”.

Akcje oddziału Wandy Gertz dzielą się na dwie części: okres przynależności „**Dysku**” do **ZO** oraz jego działalność w **Kedywie Komendy Głównej**. Pierwsza część to moment organizacji i tworzenia szkieletu oddziału. Druga część to etapy tworzenia różnych grup i dokonywania ich podziału na sekcje. Początkowy etap patrolowy „**Dysku**” wiąże się z systemem organizacyjnym przyjętym w zespołach dyspozycyjnych **ZO** w najwcześniejszym okresie jego istnienia. Późniejszy, tzw. „kedywowski”, to etap podziału na sekcje, które wiążą się z tworzeniem liczniejszych, zwartych oddziałów mających prowadzić działania sabotażowe, dywersyjne oraz ściśle bojowe. W ramach struktury działały: patrole (zajmowały się szkoleniem uczestników), sekcje i plutony, grupa minerska (dowodzona przez **Marię Jankowską „Margaritę”**), grupa sabotażowa, grupa łączniczek. Głównym lokalem „**Dysku**” było mieszkanie „**Franciszki**”, **Bolesławy Ferencowicz**, która pełniła funkcję głównej łączniczki. Było to miejsce spotkań „**Leny**” z kierowniczkami poszczególnych sekcji, a także punkt kontaktu z dowództwem i innymi oddziałami **Kedywu**. Oprócz mieszkania na ul. Marszałkowskiej w Warszawie, miejscem kontaktu dowódcy oddziału była stołówka przy ul. Złotej. Ważnym punktem łączności zewnętrznej „**Dysku**”, wiążącym go z dowództwem i innymi komórkami **Kedywu KG**, była „**Cukierenka**” przy ul. Narutowicza. To tam znajdował się punkt łączności grupy sabotażowej wiążący ją z „**Apteką**”, czyli **Biurem Studiów Kedywu KG AK**.

Kobięcy oddział dywersyjno-sabotażowy „**Dysk**” prężnie się rozwijał do momentu wybuchu **Powstania Warszawskiego**. Pod dowództwem niezwykle kobiecie **Wandy Gertz „Leny”**, od małego sabotażu staje się poważną strukturą, która działa w ramach **Kedywu**. W „**Dysku**” znajdowały się kobiety pełne poświęcenia, odwagi, pracowitości oraz zaangażowania. **Wanda Gertz** nadała trzon grupie „**Dysku**”, ale bez „**Sławy**”, „**Margerity**”, „**Wigi**”, „**Filipiny**” oraz „**Zofii**” nie byłoby silnej jednostki, która w znakomity sposób obeznała się z kunsztem wojskowym. Ich postawy i działalność pięknie ilustrują znaczenie hasła **BÓG, HONOR i OJCZYZNA**.

Fotografia ze zbiorów Wikimedia, autor: Pior; Odznaka oddziału AK „Dysk” (pochodzi z tablicy pamiątkowej umieszczonej w kościele św. Jacka w Warszawie)

Fotografia Wandy Gertz, „Leny” ze zbiorów Piotra Stankiewicza.

Tylko kwiaty

Maciej Świrski



W podmuchach listopadowego wiatru wieżowiec lekko się kołysał. Za oknem były ciemności, a w dole miasto iskrzyło się pomarańczowymi latarniami i przesuwającymi się światłami samochodów. To biuro było na 30 piętrze i szklane ściany oddziaływały ciepłą recepcją od zimnego świata. Było już późno, i recepcjonistka przygotowywała się do wyjścia, wszyscy prawie poszli. Jedynie samotny gość do zarządu umówiony na piątą po południu przyszedł trochę wcześniej i czekał na fotelu, przeglądając "Rzeczpospolitą". Jasne światło lamp w metalowych panelach pod sufitem, szkło, chromowany metal, skórzane brązowe kanapy, dębowy kontuar recepcji.

Na recepcjonistkę czekający gość nie zwróciłby wagi, gdyby nie jej dziwna uroda – przez dłuższą chwilę nie mógł się zorientować, kogo mu przypomina, po tym, jak wzięła jego wizytówkę i zadzwoniła do asystentki prezesa, że już się zjawił. Przez dłuższą chwilę szukał w pamięci, kto to mógł być, i pomyślał, że może to ta sama osoba i teraz ta dziewczyna oczekuje przypomnienia, a nie tylko zdawkowego uśmiechu – ale po chwili sobie uświadomił, że ta twarz, ta uroda przypomina mu wyobrażoną w dzieciństwie Oleńkę Billewiczównę, zanim jeszcze obejrzał film. Tak, to była ta twarz, ta uroda, ten typ kobiecości.

Siedział na fotelu i obserwując ukradkiem dziewczynę, jeszcze raz robił przegląd spraw przed spotkaniem. Z tym prezesem zdążyli się już dość dobrze poznać, podczas długich negocjacji. Umowa była dogadana – zakres, warunki, terminy, pieniądze. O ile wszystko pójdzie dobrze, to dzisiaj podpisze umowę, jutro, czyli w piątek, zatwierdzi się harmonogram i poumawia ludzi, potem jest sobota, niedziela i w poniedziałek, zgodnie z planem będzie można przystąpić do audytu i wywiadów

z pracownikami, analizy infrastruktury, a po tygodniu przedstawić propozycję działań i budżet zakupowy – chodziło o zmiany systemu teleinformatycznego, zgodnego ze standardami firmy-matki zza granicy.

W ogóle był to dziwny kontrakt – zazwyczaj Wielki Brat nie dopuszcza krajowych ekspertów, takich jak on, i przysyła swoich, ale ten prezes ma chyba mocną pozycję, bo uparł się na to, żeby to nie właściciele zza granicy dokonywali zmiany, tylko żeby zrobić to polskimi siłami. Swoją drogą była to chyba kwestia budżetu – jego usługa była ze

trzy razy tańsza od tego, co policzyliby sobie Wielki Brat. A że jego firma miała wszystkie wymagane certyfikaty, to i argumentacja była łatwiejsza.

Dziewczyna z recepcji – Oleńka jak ją nazwał – postawiła na blacie kryształową wazę, trochę taką, jak u cioci na imieninach, z logo firmy i zaczęła układać w niej kwiaty. To były goździki i gdy je zobaczył, jak w drobnych palcach Oleńki układają się w rozetę, którą przeplata biało-czerwona wstążka – biało-czerwone goździki i biało-czerwona wstążka – uświadomił sobie, że jutro jest święto. I, że jutro nic się nie działo, że trzeba zmienić harmonogram. "Dobrze że sobie przypomniałem" – pomyślał, "bo byłaby wpadka w rozmowie".

Patrzył na dziewczynę, której twarz była pełna jakiejś spokojnej zadumy, a może tkliwości. Delikatnie związywała wstążką kwiaty, tak, aby utrzymać rozłożenie ich w rozetę w wazonie. Śledząc jej spojrzenia już wiedział, gdzie chciała go postawić – na stoliku naprzeciw recepcji, obok fotela na którym siedział. Było tu, zawieszona na ścianie i oświetlone, logo firmy.

Usłyszał jakiś ruch, kroki w głębi korytarza, ciemnego w kontraście z jasno oświetloną recepcją. Spodziewał się asystentki prezesa, ale nie, to były męskie, energiczne kroki – to był on sam, wychodził do niego, bo i okazja była ku temu – podpisanie umowy. Wyszedł z ciemnego tła zwrócony do niego, z wyciągniętą ręką, w ciemnym garniturze, czerwonym krawacie na białej koszuli. Tuż po czterdziestce. Uśmiech, oczy, profesjonalne wpatrywanie się przez chwilę, gest zapraszający, rutyna i lata wprawy. Odpowiedział tym samym, wyciągnął rękę ku jego ręce i już mieli wymienić uścisk, gdy tamten nagle zeszytniał, opuścił rękę i zwrócony do recepcjonistki, postąpiwszy krok ku niej, ostro, prawie krzyżując, zapytał:

– Co ty robisz?

Dziewczyna podniosła głowę, patrząc na prezesa zaskoczona.

– Układam bukiet...

– To widzę! Ale dlaczego taki? I gdzie chcesz to postawić?

Oleńka wskazała na stolik naprzeciw

– Tam. Ale czy nie wolno? Jutro jest...

– Wiem co jest. Proszę mi żadnych demonstracji tu nie urządzać!

Widać było, że dziewczyna jest zdumiona.

– To co mam zrobić?

– Nie wiem. Wyrzucić!

Dziewczyna spojrzała na wazon z kwiatami. Wypuściła wstążkę, położyła płasko dłonie na blacie kontuaru recepcji. Biel skóry na ciemnym dębowym drewnie. Palce lekko zbiały od nacisku. Denerwowała się?

Prezes stał na przeciw tej drobnej kobiety. Gość czuł rosnące napięcie między tym dwojgiem. Stał obok, widząc, jak mężczyzna

jakby zbierał się w sobie, czekając na reakcję recepcjonistki.

– Ja tego nie zrobię... – powiedziała cicho. Mówiąc to spojrzała na prezesa wprost. Gość zdziwił się, że nie widać było w jej postawie lęku. Raczej zdumienie.

– No to ja to zrobię! – mężczyzna podszedł krok, chwycił obiema dłońmi kwiaty, uniósł, rozejrzawszy się w poszukiwaniu kosza na śmieci i jak w koszykówce rzucił je celnie. Wstążka zawinęła się na czarnej folii pojemnika, w biało-czerwonej serpentynie.

Prezes odwrócił się do swego gościa, znowu z wyciągniętą ręką. Trafił w próżnię. Mężczyźni stali naprzeciw siebie, gość nie wyciągał już ręki na przywitanie. Patrzyli na siebie bez słowa.

– Nie podpiszemy dzisiaj umowy, panie prezesie.

– Ale dlaczego? Przecież wszystko jest już dogadane – prezes zdziwił się, unosząc brwi. Czarne oczy patrzyły jednak bez zdziwienia, badawczo oceniając nowy zwrot w negocjacjach.

– Dlatego – gość wskazał kosz ze zwisającą wstążką

Prezes obejrzał się przez ramię

– To tylko kwiaty

– Żadnej umowy. Ani teraz, ani nigdy.

– To tylko kwiaty

– Dla pana.

Gość odwrócił się i odszedł w stronę wind. Nacisnął podświetlany na zielono guzik na granitowej ścianie. Wszedł do windy ze szkła. Szklana ściana oddzielała go od czarnej przestrzeni. W dole przesuwwały się czerwone i białe światła samochodów. Opadał w przepaść słysząc ten głos – to tylko kwiaty. Tylko. Kwiaty.



Polak został symbolem brytyjskich sił powietrznych

◀ **s.12** do Litiatyna k. Brzeżan, a stąd, po agresji sowieckiej, personel został ewakuowany do Rumunii. Tam, razem z innymi pilotami, dotarł do polskiej ambasady w Bukareszcie, gdzie otrzymał fałszywe dokumenty. Następnie cała grupa udała się do portu Bałczik, skąd na pokładzie **SS Patris** przedostała się do Marsylii. Wówczas, ze sporą częścią polskich pilotów, Kornicki został przydzielony do bazy **Lyon Bron**, gdzie szkolił się na myśliwcach **Blériot-SPAD S.510**, **Caudron CR.714**

Cyclone oraz **Morane-Saulnier MS.406**. Trening bojowy na francuskich samolotach ukończył tuż przed kapitulacją tego kraju. Po złożeniu broni przez Paryż otrzymał rozkaz ewakuacji do Wielkiej Brytanii.

Pod koniec czerwca 1940 r. dotarł do Zjednoczonego Królestwa. Mając zaledwie 26 lat, walczył najpierw w Dywizjonie 307, a następnie w słynnym polskim Dywizjonie 303. W 1941 r. został przeniesiony do Dywizjonu 315, a w 1943 r. objął dowódz-

two Dywizjonu 308, stworzonego z Dywizjonu Myśliwskiego 2 Pułku Lotniczego w Krakowie. Był najmłodszym pilotem na tym stanowisku w Polskich Siłach Powietrznych w UK, działających w ramach RAF. Jego nowa jednostka, która weszła do służby już po zakończeniu Bitwy o Anglie, została wyposażona w samoloty Spitfire. Wykonywał też zadania bojowe dla 9 Grupy Myśliwskiej RAF w Holandii i Belgii.

Po wojnie pozostał w Wielkiej Brytanii, nie uznając komunistycznego rządu narzuconego Polsce przez ZSRR. Został odznaczony m.in. Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych. Jest ostatnim żyjącym polskim pilotem, który brał udział w Bitwie o Anglie.

Dziady

Lech Galicki

Jesienny las szeptał odgłosami wirujących liści. Zamyślony biegłem nie zwracając uwagi na zapadający zmrok. Niespodziewanie ujrzałem niezwykłą postać. Na szczycie opatulonego mgłą pagórka siedział stary człowiek. Ubrany w szary wojskowy płaszcz, na głowie czapka maciejówka, z rozwianą szarą jak przybrudzony śnieg długą brodą wyglądał niczym senna zjawa. Kulejąc, nieporadnie ruszył z boku w moją stronę, zatrzymał się jakby zrezygnowany, machnął ręką i zniknął w wieczornym oparze.

Przez chwilę stałem zdumiony, potem ruszyłem przed siebie co sił w nogach. Od miejscowych dowiedziałem się później, że to był po prostu dziad i wielu go widywało i nie pytali nawet kto zacz. No, dziad. Nikt z nim nie rozmawiał, bo kto z dziadem jesiennym, listopadowym kumać się będzie. Oj, bieda, bieda, bo z listopadowymi dziadami przystawać trzeba. I słuchać ich lub po prostu zadumać się w przeszłości, która przed chwilą, w boju o niepodległość Ojczyzny, teraźniejszością była. Niektórzy mówią o nich świadkowie historii Polski. Efemeryczni w lesie szepczącym odgłosami wirujących, krwistych liści. Zjawy z innych czasów. Ale także ukryci w domach starców, samotni, zapomniani, żyjący własnymi wspomnieniami.

Jest wśród nich Jerzy, były legionista. Podczas okupacji wysiedlono go z Kujaw. Pamiętał, że w lubelskiem, gdy nadeszły wojska sowieckie, nie chcieli brać parcelowanej ziemi. Hrabia Zamojski był przecież dobrym człowiekiem. Potem, po latach, Jerzy zdał mieszkanie i zamieszkał z ukochaną żoną w Domu Kombatanta i Pioniera. Dzieci nie mieli. Potem nadeszły same nieszczęścia. Najpierw lekarze odjęli mu nogę. Potem zmarła żona najdroższa. Został sam. I wspomnienia jego z dni chwały, szczęścia i radości. Nijak nie mogą one odsunąć smutku ołowianej teraźniejszości.

Dziad polski. Gdy zobaczysz na szczycie opatulonego mgłą pagórka starego człowieka, podaruj mu choć krótką chwilę rozmowy, a potem biegnij przez las co sił w nogach, bo czas nie zna litości.

25 LISTOPADA
2017



**SUPPORT
POLAND!
WSPIERAJ
POLSKĘ!**

KONFERENCJA

- ▶ Polska komunikacja strategiczna w odniesieniu do polityki historycznej
- ▶ Szanse, zadania i wyzwania dyplomacji
- ▶ Wkład Polonii w obronę dobrego imienia Polski
- ▶ Głos Polonii!

WSTĘP WOLNY!

godz. 10.00
Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich,
ul. Foksał 3/5, Warszawa



Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych

Zadanie publiczne współfinansowane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP
w ramach konkursu Dyplomacja Publiczna 2017
— komponent „Współpraca w dziedzinie
dyplomacji publicznej 2017”



Organizator
www.rdi.org.pl

Reduta Dobrego Imienia zaprasza na konferencję

Lech Galicki

Polska nie zginie silna nad zdradzieckie narody

Polska była, jest i będzie w swym ducha męznego
sile nad narody zdradzieckie,

Potężna jako skala nawet gdy zda się kona, to chwila
tylko, bo męka

Odkupicielki narodów Jej listem żelaznym
w niebiesiech wyznaczona,

A jeśli wątpliwości smętne cię nękają, siostró i bracie
miły w uludzie tego świata,

Ona wskazana przez moc Praojca w Trójcy
Jedynego,

Otwórz rozum i serce, strząśnij wiaro wystraszona pył
z drogi krętej,

Wprzódy proś o Dar Mądrości, Dar Rozumu,

Dar Rady, Dar Męstwa, Dar Umiejętności,

Dar Pobożności, Dar Bojaźni Bożej, siedem ich jest,
tam do kata,

zapomniałeś?

A pamiętać ochrzczony narodzie pamięć obiecałeś,

One wszystkie były, będą, są i osiadać przesłane

Orłowi Białemu,

jako personifikacja narodu polskiego,

Wszystkie pochodzące od Ducha Świętego,

Na Boga wytrwajcie!

Polacy, szcuć was będą na siebie i innych
na Lachów,

A wam bać się nie wolno na odlew policzków
i niegodnych strachów,

Bo wy świata nadzieją w czasach pokrętności,

Tylko Duch Pokoju niechaj w Polsce gości,

Jeszcze aby zło dobrem będzie zwyciężone,

I pokój szczerzy prawdziwie na ziemi, tej ziemi się
ostanie,

Zabory Polski, rzezie, zagłady, zdrady przybyłe ze
wszystkich stron świata, powstań narodowych

pogromy, wynaradawianie i niegodności tyle,

Wszystko to w Ojczyzny ofiarę za wolność waszą
i naszą wliczone zostanie,

Ja wiem: tyle ofiar, zawodów, krwi, mozołów,

I tacy niegodni wybaczenia z państw sąsiednich
dranie,

A jednak nie wierzcie złym podszeptom

z nieprzyjaciół i zdrajców grona,

Nie!- jak mówią zemsta nasza, lecz sprawiedliwość

Boża nastąpi,

I odżyła umartwiona, 11 listopada 1918 roku,

niepodległa, białoczerwona,

na zawsze, choć zło zawsze na Nią w swych

zakusach,

przyczajone do zdradliwego skoku,

aż przyjdzie dzień wolności na wieki danej.

Lech Galicki

ur. 29 I 1955 w Szczecinie

Dziennikarz, prozaik, poeta.

Pseud.: (gal), Krzysztof Berg, Marcin Wodnicki

Syn Władysława i Stanisławy z domu Przybeckiej. Ukończył studia ekonomiczne na Politechnice Szczecińskiej; studiował również język niemiecki w Goethe Institut w Berlinie. Odbył roczną aplikację dziennikarską w tygodniku „Morze i Ziemia”. Pracował jako dziennikarz w rozmaitych periodykach. Był zastępcą redaktora naczelnego dwutygodnika „Kościół nad Odrą i Bałtykiem”. Od 1995 współpracuje z Polskim Radiem Szczecin, dla którego przygotowuje reportaże, audycje autorskie, słuchowisko („Grona Grudnia” w ramach „Szczecińskiej Trylogii Grudnia.”) oraz cykliczne felietony. Podróżował do Anglii, Dani, RFN, Belgii; w latach 1988 – 1993 przebywał w Berlinie Zachodnim. Od 1996 prowadzi warsztaty dziennikarskie dla młodzieży polskiej, białoruskiej i ukraińskiej w Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej. Jest członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i Związku Zawodowego Dziennikarzy. W 1994 otrzymał nagrodę specjalną SDP za różnorodną twórczość dziennikarską i literacką. Wyodróżniany wielokrotnie przez polskie bractwa i grupy poetyckie.

Jako dziennikarz debiutował w 1971 roku w tygodniku „Na przełaj”. Debiut literacki: Drzewo – Stan (1993).

Opublikował następujące książki poetyckie: Drzewo-Stan .Szczecin: Szczecińskie Wydawnictwo Archidiecezjalne „Ottonianum”, 1993; Ktoś Inny. Tamże, 1995; Efekt motyla. Szczecin: Wyd. „PoNaD”, 1999. Cisza .Szczecin: Wyd. Promocyjne „Albatros”, 2003, Krzyk Okrzyk, Szczecin: Wyd. „PoNaD”, 2004. Lamentacje za jeden uśmiech. Szczecin: Wyd. „PoNaD”, 2005. Tentato. Zapamiętnik znaleziony w chaosie. Szczecin: Wyd. „Ponad”, 2007. Lawa rozmowy o Polsce. Współautor. Kraków: Solidarni 2010, Arcana, 2012. Proza, reportaże, felietony: Trzask czasu, Czarnków: Interak, 1994; Na oka dnia. (wspólnie z Agatą Foltyn) Szczecin: Wydawnictwo Promocyjne „Albatros”, 1997, Jozajtis, Szczecin, Wyd. „PoNaD”, 1999, Sennik Lunatyka, Szczecin: Wyd. Promocyj-

ne „Albatros”, 2000, Dum – Dum. Szczecin: Wyd. „Ponad”, 2000, Dum – Dum 2. Tamże, 2001, Punkt G., Tamże, 2002, Dziękuję za rozmowę. Zszywka czasu.

Charakterystyczne dla „metafizycznych” tomów poezji Galickiego jest połączenie wierszy oraz fotografii Marka Pozniaka (w najważniejszym tomie „Ktoś Inny” są to zdjęcia kostiumów teatralnych Piera Georgia Furlana), stanowiących tyleż dopełniającą się całość, co dwa zupełnie autonomiczne zjawiska artystyczne, jednocześnie próbujące być świadectwem poszukiwania i zatrzymywania przez sztukę prześwitów Wieczności. Marzenia mają moc przełamania własnego zranienia, ocalenia świadomości boleśnie naznaczonej czasem, przemianami, śmiercią. Prowadzą do odnajdywania w sobie śladów nieistniejącego już raju i harmonii. Charakterystyczna jest przekładalność zapisu słownego na muzyczny i plastyczny. Reportaże i felietony Galickiego dotyczą zawsze najbliższej rzeczywistości: ułamki rozmów i spotkań w tramwaju, migawki spostrzeżeń, codzienność w jej często przytłaczającym wymiarze. Zapiski zaskakują trafną, skrótową diagnozą sytuacji życiowej bohaterów. Galicki balansuje pomiędzy oczywistością a niezwykłością zjawiska, powszedniością sytuacji, a często poetyckim językiem jej przedstawienia. Oderwanie opisywanych zdarzeń od pierwotnego kontekstu publikacji („Kościół nad Odrą i Bałtykiem”, PR Szczecin) czyni z minireportaży swoistą metaforę, usiłującą odnaleźć w ułamkach codzienności porządkujący je sens. Podobnie dzieje się w felietonach z założenia interwencyjnych (Dum – Dum, Dum – Dum 2): autor poszukuje uogólnienia czy też analogii pomiędzy tym, co jednostkowe a tym, co ogólne, wywiedzione z wiersza, anegdota, symbolu, przeszłości. Galicki buduje świat swoich mikroopowiadań również z ułamków przeszłości (np. historia Sydonii von Borck w Jozajtisie), a także z doświadczeń autobiograficznych (pamięta dzień swoich urodzin, przeżył doświadczenie wyjścia poza ciało oraz groźną katastrofę).

Piotr Urbański

Powyższy artykuł biograficzny pochodzi z *Literatury na Pomorzu Zachodnim do końca XX wieku, Przewodnika encyklopedycznego* (Szczecin: Wydawnictwo „Kurier – Press”, 2003).



Historia jednej rodziny – wojenne losy Murawskich

Maria Szuster, Ks. Roman Murawski

część druga

Obóz w Potulicach

W obozie funkcjonowała szkoła, raczej namiastka szkoły. Była jedna duża sala. Już nie pamiętam, jakie grupy dzieci na te lekcje przychodziły, które ponadto odbywały się nieregularnie. W obozie, jak wspominałem, było dużo dzieci, z tym, że od 12 roku życia musiały już iść do pracy. W tej oto obozowej szkole otrzymał zatrudnienie nasz ojciec, gdy się okazało, że jest z zawodu nauczycielem i zna perfekcyjnie język niemiecki.

Tatuś uczy dzieci wszystkie razem w języku polskim, tłumaczonym na niemiecki. W kantorku z tyłu, za szklaną ścianą, siedzi Sturmführer (gestapowiec) Kurtz – sprawdzający sposób nauczania tatusia oraz pocztę obozową. Tatuś, gdy jest wolny, pomaga mu. Przypuszczam, że stemplował pocztę. Kurtz jest kulturalnym człowiekiem, traktuje tatusia po ludzku – normalnie. Informuje tatusia, że musi sprowadzić dzieci, które uciekły i są u krewnych. W przeciwnym razie rodziny te będą również wywiezione do obozu. Mówi, że sam wyśle te listy z poczty we wsi i nie będą sprawdzane. Poza tym poucza, żeby krewni przywozili dzieci bez pośpiechu – nie wszystkie razem. Gdy już wszyscy jesteśmy razem, przenoszą nas do baraku nr 8. Mieszka z nami rodzeństwo: Mietek i Terenia Czerwińscy.

Maryla:

Nie wiem dokładnie, jak znalazłam się w obozie... Gdy przybyliśmy do obozu w Potulicach, musieliśmy się rozebrać z naszych rzeczy

i przejść przez łaźnię, rzeczy (ubrania) zostały oddane do parowania. Na pewno nie wiedziałam, co znaczy obóz, ale tak się cieszyłam, że byliśmy znowu wszyscy razem.

Mieszkaliśmy w baraku, w izbie, gdzie były piętrowe łóżka i oprócz naszej 9-cio osobowej rodziny mieszkali z nami dwie osoby, rodzeństwo. Ja spałam w łóżku przy drzwiach na piętrze. W nocy kasały nas pluskwy, siedziały takie czerwone w szparach między deskami. Tatuś usiłował je zabijać scyzorykiem z lampką w ręce, ale czasami z zewnątrz słychać było „verdunkeln”.

Moje wspomnienia związane z przybyciem do obozu pokrywają się z relacjami Oli i Maryli. Pierwsze wrażenie: rzędy baraków, a w środku duży plac apelowy. Z ciotką Marynką musieliśmy się pożegnać po wejściu do urzędowej części obozu, w której mieściła się administracja. Po zewidencjonowaniu nas (mnie i Zenona) zostaliśmy wprowadzeni do obozu, gdzie w towarzystwie kapo czekał na nas już tatuś, wcześniej o naszym przybyciu poinformowany. Pierwsze kroki prowadziły do łaźni. Po kilkunastu dniach, w taki sam sposób, zostali dowiezieni do obozu Fela wraz z Andrzejem i Marylką. Rodzina zatem była już w komplecie.

Jak wyglądało życie w obozie?

W 1943 roku trafiliśmy już do nowo wybudowanego obozu. Baraki, w których zostaliśmy ulokowani, były, w porównaniu do tych wcześniejszych, niezwykle prymitywnych, bardziej

komfortowe, jeśli takiego określenia można użyć. Ustawione były rzędami i ponumerowane. Wciąż dobudowywano nowe. Baraki oznaczone numerami 6 – 12 posiadały izby małe, z trzema zestawami pryczy, w których można było zakwaterować nawet kilkanaście osób; baraki od numeru 13 wzniosły posiadały izby duże, w których można było umieścić kilkadziesiąt osób. Nasza rodzina została ulokowana w baraku z izbami małymi. Sądzę, że wpływ na to miała pozycja ojca związana z jego pracą – kierowanie szkołą obozową. Przez całą długość baraku prowadził środkiem korytarz, a na jego końcu po obu stronach były toalety, osobne dla kobiet i mężczyzn, w których mieściły się krany z zimną wodą oraz sedesy (bez kabin). Na początku korytarza, przy wejściu, znajdowała się jednoosobowa izba, którą zajmował kapo nadzorujący ten barak.

Życie w obozie rozpoczynało się wcześniej rano; pobudka, o ile się nie mylę, była o godzinie 5:00. Około godziny 5:30 rozdawano kawę, a o godzinie 6:00 była już zbiórka na placu apelowym, skąd po odprawie, w kolumnach, udawano się do pracy. Szczególnie uciążliwe były te apele na jesieni lub w zimie, zwłaszcza gdy trzeba było nieraz długo czekać na odprawę lub stać w deszczu lub na mrozie. Ci, którzy pracowali na terenie obozu, a znajdowało się na jego terenie wiele różnych warsztatów, wracali po godz. 12:00 do swych baraków na posiłek obiadowy, po czym wracali z powrotem do swych zajęć, i pracowali do godz. 18:00. Natomiast ci, którzy udawali się do pracy poza teren obozu, wracali z powrotem dopiero wieczorem. Obiad dostarczano im w miejscu pracy. Wieczorem, po powrocie do baraków, rozda-



Budowa obozu w Potulicach

„W pierwszym okresie istnienia obozu, od listopada 1940 do lipca 1941, był on obozem typowo przesiedleńczym (**Umsiedlungslager**), służącym jako przejściowy obóz zbiorczy dla polskiej ludności wysiedlanej z Gdańska i Pomorza do Generalnej Gubernii. Od połowy lipca 1941 zmienił swój charakter, zachowując nadal swą dotychczasową nazwę. Stał się obozem karnym, podległym obozowi w **Stutthofie – jego filią**.

Do obozu wywożono polskie rodziny, głównie z Pomorza, zwłaszcza te, które stanowiły jakieś zagrożenie dla władz okupacyjnych i stałe powiększany. Było ponad trzydzieści baraków. W obozie było bardzo dużo dzieci bez rodziców, przetrzymywanych w specjalnych barakach dla dzieci”.

Historia jednej rodziny – wojenne losy Murawskich

s.18 wano kawę oraz porcję chleba z marmoladą; ten przydział musiał starczyć na kolację i na śniadanie. Pracowaliśmy we wszystkie dni roku, również w niedziele i święta (wolnymi dniami od pracy były pierwsze dni świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy i Zielonych Świąt, czasem także jakaś niedziela). Wieczorem, na ile warunki obozowe zezwalały, rozwijało się życie towarzyskie. Najczęściej były to jakieś koleżeńskie spotkania. Graliśmy nawet w karty (własnego wyrobu). Po godz. 22:00 nie można było przebywać poza swoim barankiem, sprawdzano obecność, obowiązywała cisza nocna.

Dwie rzeczy były najbardziej dokuczliwe: głód i pluskwy.

Gdy chodzi o jedzenie, było ono okropne i niewystarczające. Chodziłem cały czas głodny. Wieczorem, jak już wspomniałem, dostawaliśmy niedużą pajdę czarnego chleba z marmoladą i kubek kawy. Porcja chleba musiała starczyć na dwa posiłki. Każdy we własnym zakresie musiał zdecydować, jak ją sobie podzielić. Ja najczęściej zjadałem całą porcję chleba, grubości dwóch skibek, na kolację; rano – nie było już nic do jedzenia, tylko kubek czarnej kawy. Pamiętam, że moim największym pragnieniem było najeść się do syta. Doświadczyłem w obozie, co to jest głód i nigdy tego uczucia nie zapomnę. Znajdowałem się wtedy w okresie dorastania, miałem 13-14 lat, a więc byłem w okresie rozwojowym, w którym organizm intensywnie rozwija się i ma się szczególnie duży apetyt. Na obiad było pół litra zupy, w okresie jesienno-zimowym z brukwi lub kapusty, a w okresie wiosenno-letnim z różnego rodzaju chwastów, przeważnie z pokrzyw i lebiody. Czasem, jak miało się szczęście, można było trafić na jakiś ziemniak, za to dużo częściej odnajdowaliśmy w niej robaki. Przez cały czas

pobytu w obozie, przez blisko dwa lata, raz tylko na obiad były ziemniaki (na Zielone Święta); ani razu nie było mięsa, nie mówiąc już o jakiejś wędlinie (kiełbasie), serach, twarogu czy mleku. Tych wszystkich produktów żywnościowych, tak ważnych dla fizycznego rozwoju w okresie dzieciństwa, byliśmy całkowicie pozbawieni.

Drugim bardzo dokuczliwym problemem były pluskwy. Nie dawały w nocy spać. Wyłaziły ze szpar między deskami (baraki były zbudowane z desek, podobnie prycze). Po pewnym czasie zdecydowano się na wygazowanie baraków. Na jakiś czas to pomogło, ale nie na długo. Piszą o tym Ola i Maryla.

Ola:

Pluskwy... gryzły i wychodziły, gdy tylko zgasło światło. Ściany w pomieszczeniach były z wąskich desek i głębokimi szparami. Panoszyło się to robactwo w tych szparach... Gdy nie dawały spać, tatuś szybko zapalał światło i przejeżdżał scyzorykiem po tych szparach. Równie szybko, chociaż okna były zasłonięte, zjawiali się żandarmi, pukali w okno i wołali „Verdunklung”. Pytali: „was machen sie da?” Tatuś odpowiadał: „Wanzenschlacht”. Podobnie było z wszawicą. Wszy oprócz włosów wchodziły do odzieży i siedziały w szwach. Codziennie przed ułożeniem się do snu, zabijaliśmy to świństwo paznokciami kciuka. Również od czasu do czasu odbywało się odwyszawianie, tzn. prysznic i przegląd włosów. Gdy tylko coś znalezione we włosach, zaraz maszynką golono głowę.

Od czasu do czasu odbywało się gazowanie baraków przeciw pluskwom. Po gazowaniu trzeba było sprzątać, ponieważ wszystkie rzeczy zostały w barakach. Zakręcali wodę, żeby utrudnić ludziom sprzątanie. Wyznaczali czas i SS-mani przychodzili sprawdzać. W pomieszczeniach po gazowaniu trzeba było nocować (pomieszczenia nie były dobrze wywietrzone).

Maryla, młodsza siostra, po każdym gazowaniu dostawała krwotoku nosa.

Maryla:

W obozie z powodu pluskw przeprowadzano gazowanie baraków. Trzeba było potem wszystko wynieść i umyć, ale wodę zamykano. Pamiętam, jak stałam z kanką po wodę w kolejce do kotłowni.

Do pracy byli zobowiązani wszyscy powyżej 12 roku życia. Ojciec pracował w obozowej szkole.

Pisze:

Uczyłem w szkole obozowej w Potulicach dzieci w wieku szkoły podstawowej w 4 dniach tygodnia i chłopców powyżej 14 lat w szkole zawodowej 2 razy w tygodniu.

Mama w ogóle nie pracowała. Nie umiem wytłumaczyć, jak to się jej udawało. Ale wydaje mi się, że ze względu na dużą gromadę dzieci; było nas siedmioro i trzeba było się nami opiekować. Trójka ze starszego rodzeństwa – Fela, Roman i Zenon - musieli podjąć pracę. Fela chodziła do pracy w szwalni, mieszczącej się w zamku, gdzie funkcjonował zakład, w którym szyto kożuchy dla niemieckich żołnierzy. Pracowało tam wiele kobiet, zwłaszcza młodych dziewcząt.

Zamek Potulickich w tym czasie przestał już pełnić funkcję obozu. Mieściły się w nim różne warsztaty i pracownie, między innymi także owa szwalnia. W podziemiach był bunkier, wzbudzający powszechny strach, gdzie umieszczano za karę „niepoprawnych” obozowiczów. Gdy przybyliśmy do Potulic, przetrzymywano w podziemiach zamku sporą grupę Żydów. Po kilku tygodniach, pewnego dnia zniknęli. Prawdopodobnie zostali wywiezieni do innego obozu, gdzie zostali zagazowani.

Zenon i ja, ze względu na naszą dosyć dobrą znajomość języka niemieckiego, zostaliśmy

s.20 ►



Historia jednej rodziny – wojenne losy Murawskich

s.19 zatrudnieni jako gońce: Zenon jako goniec w rezydencji komendanta obozu, ja – w biurach obozu. Względnie komfortową sytuację, jak na obóz, miał Zenek. Mieszkał w piwnicach (w kotłowni) rezydencji komendanta obozu, w willi, nazywanej „białym domem”. Miał tam dosyć dobre warunki: ciepłą wodę, nie dokuczaly mu pluskwy, nie chodził głodny – korzystał z posiłków lokalnej kuchni. Nieraz udało mu się coś z jedzenia przemyścić dla nas, do obozu. Wtedy była wielka radość; mogliśmy doświadczyć, jak smakowało normalne jedzenie. Jako gońce mieliśmy przepustki, zezwalające na wielokrotne przekraczanie obozu. Wartownicy, przy bramie obozowej, nas już trochę znali, więc nie zwracali na nas specjalnej uwagi. Moja rola jako gońca polegała na tym, że w budynku administracyjnym obozu, umiejscowionym zaraz obok bramy obozowej, pełniłem na korytarzu dyżur - i byłem takim chłopcem na posyłki: coś zanieść, coś przynieść itp. Było nas trzech, między innymi wspomniany przez Olę Lutek Cendrowski. Jak na warunki obozowe, była to bardzo dobra praca. Nie była uciążliwa. Dzięki temu, że można było wychodzić poza teren obozu, dawała jakieś poczucie wolności. Ponadto można było nieraz coś zdobyć do jedzenia, np. gdy byliśmy wysyłani z jakimś poleceniem do przyobozowego ogrodu. Pracowali tam więźniowie, więc czasem jakiś owoc czy warzywno wetknęli do kieszeni.

Dzieci do dwunastego roku życia w ciągu dnia wyprowadzano do lasu, niedaleko obozu (oddalonego od bramy obozowej niecały chyba kilometr). Był on ogrodzony drutem.

Wspomina o tym Marylka.

Dzieci musiały chodzić do lasu, wydawało mi się, że było daleko. Starsze dzieci budowały z mchu wały-szałas, aby osłonić się przed wiatrem i od zimna. Do lasu szliśmy czwórkami, w kolumnach. Przechodziliśmy przez straż, gdzie kapo liczył nas i meldował. Kapo – był to wysoki mężczyzna w ciemno niebieskim mundurze, z dużymi zębami i silnym głosem, bardzo się jego bałam. W lesie wszyscy biegli szybko do swoich szałasów, bo inni niszczyli je i kradli mech. Andrzej był bardzo szybki i zawsze w naszym szałasie był pierwszy, a w ogóle był przedobry, opiekuńczy i odważny, przy nim czułam się bezpieczna. Pewnego razu musiałam iść do lasu tylko z Leosiem, bez Andrzeja. Czułam się bardzo opuszczona, nie dostaliśmy miejsca w szałasie, tylko siedzieliśmy pod drzewem, na szczęście było ciepło. Ja zasnęłam, a Leoś, bardzo kochany, siedział przy mnie i dostał biegunki. Jak się obudziłam, był bardzo zabrudzony, wycierałam go trawą, bo nic innego nie miałam. W czasie pobytu w lesie przywożono w takim zielonym, dużym pojemniku na dwóch kołach zupę, albo wodę, i trzeba było z kubkiem biec, aby coś dostać. Oczywiście, Andrzej był niezastąpiony, sprytny, szybki, zawsze coś dla nas zdobywał. A jak byłam sama z Leosiem, nie dostaliśmy nic do jedzenia. A gdy wracaliśmy do obozu, to

nie mieliśmy miejsca w kolumnie, czekaliśmy z boku, żeby kapo nas do kogoś dołączył.

Chciałbym jeszcze kilka słów powiedzieć o spędzaniu wolnego czasu. Nie było go zbyt wiele: w zasadzie tylko wieczory po pracy do godziny 22:00, czasem niedziela. W miarę upływu czasu, zawiązywały się znajomości, powstawały więzy koleżeństwa i przyjaźni. Staraliśmy się wytworzyć na miarę możliwości, jaki stwarzał obóz, jakąś przestrzeń wolności. Obóz był otoczony podwójnym kordonem drutu kolczastego, po jego zewnętrznej stronie znajdowały się budki strażnicze, pilnowali nas uzbrojeni żołnierze (wachmani). Trzeba było starać się żyć w miarę normalnie, żeby nie popaść w jakąś depresję, żeby nie zwariować. Można było spacerować „aleją” wzdłuż baraków, co też chętnie czyniliśmy. Owa droga, nazywana przez nas aleją, stawała się po pracy istnym deptakiem. Chodziliśmy w małych grupkach, rozmawiając na różne tematy, przekazując sobie wiadomości dotyczące działań wojennych, snując niejednokrotnie jakieś wizje na przyszłość. Miałem kilku bliskich kolegów, z którymi spotykałem się na takich spacerach. Ponadto staraliśmy się ten wolny czas w jakiś inny, sensowny sposób wykorzystać.

Ola:

Po powrocie z lasu graliśmy często w karty. Przychodził Lutek Cendrowski, czasami Roman Gdaniec i graliśmy w loterię, baškę i w tysiąca. Staraliśmy się w tym trudnym dla nas czasie coś zrobić, czy czegoś nauczyć się. Bardzo powszechną grą, głównie wśród dzieci, była gra w kamyki. Kamyki były wszędzie, łatwe do zdobycia. Musiało być 5 względnie równych kamyków, mieszczących się w garści. Polegała ona na podrzucaniu kamyków po kolei od jednego do pięciu i łapaniu ich. To w obozie nauczyłam się robić siatki różnego użytku. Przeważnie z jakiegoś cienkiego sznurka lub nici. Już nie pamiętam, w jaki sposób te sznurki czy nici osiągnęliśmy. Igły do przetykania oczek robili nam panowie stolarze w stolarni. Robili ponadto różne piękne rzeczy, np. kasetki do przyborów do szycia. W obozie nauczyłam się robić na drutach. Organizowaliśmy chyba przez gońców biały sznurek, który rozciągaliśmy jak wate, a potem przędliśmy na wrzecionach ręcznych, które robili nam również stolarze. Pamiętam, jak robili piękne drewniane spody na letnie klapki (dzisiaj modne koturny). Przybijali jakieś tam wierzchy z materiału lub kolorowej taśmy. Robili to wszystko po kryjomu. Te wszystkie prace wykazywały duży artyzm.

Małe dopowiedzenie ode mnie

Niewiele rzeczy osobistych ludzie przywozili z sobą do obozu. Wywózka, jak w naszym przypadku, zawsze była nagła, odbywała się w nocy i było mało czasu na spakowanie się. Kto w takiej sytuacji jest w stanie przewidzieć, co zabrać, co może się przydać? Nie ma się głowy,

żeby o tym wszystkim pomyśleć. Toteż wielu rzeczy w obozie brakowało, inne niszczyły się przez częste ich używanie. Wprawdzie ci, którzy musieli podjąć pracę, dostawali ubrania obozowe, ale wszystko inne zużywało się szybko. W obozie starano się te braki w różny sposób usuwać. W warsztatach stolarskich, w których przyszło mi wkrótce pracować, robiliśmy potajemnie różne rzeczy, między innymi drewniane walizki, szkatuły na przybory do szycia, ale największym powodzeniem cieszyły się drewniane klapki, zarówno męskie, jak i damskie. Sporo takich kłapek udało mi się zrobić, nieraz za jakąś kromkę chleba.

W obozie istniał specjalny barak, który był obozowym szpitalem. Pracowali w nim obozowi lekarze, oczywiście pod nadzorem jakiegoś lekarza-gestapowca. Panowały nawet względnie dobre warunki. Ten szpital obozowy najbardziej wbił się w naszą pamięć poprzez szczepienia, którym musieliśmy się od czasu do czasu poddać. Bardzo baliśmy się ich. Były bolesne. Pamiętam, że lekarka czy pielęgniarka stała z dużą strzykawką w rękę i po kolei wbijała tę samą igłę, nie zmieniając jej, w ramię czy w pierś podchodzących w kolejce do niej obozowiczów. Na ogół po takim szczepieniu trzeba było odchorować, bo były to nieraz dawki drakońskie. Być może, że udawało się w ten sposób ustrzec społeczność obozową przed groźnymi infekcjami i zaraźliwymi chorobami. Spośród naszego rodzeństwa w szpitalu obozowym znaleźli się Leos i Marylka. Przypominam sobie pobyt Leosia, który miał niecałe trzy latka. Już nie pamiętam, na co chorował. Jako goniec mogłem wejść do tego szpitala, udając, że przyniosłem tu jakieś pismo czy dokument. Leżał taki biedny, osamotniony na jednej ze szpitalnych sal...

O swoim pobycie w szpitalu pisze Marylka: Gdy byli z nami jeszcze rodzice, dostałam silnego krwotoku z nosa. Nie można było zatamować krwawienia (dzisiaj wiem, że spowodowane było to brakiem witaminy C). Zawinęli mnie w prześcieradło i zanieśli do szpitala – był taki. Położyli mnie na wysokim łóżku i lekarz założył do nosa tamponadę. Zatrzymali mnie w szpitalu. Nie dostałam jedzenia, ale chciało mi się strasznie pić. Poprosiłam o wodę, a przynieśli do picia brązowe i bardzo słone maggi – nie dało się tego pić. Ten obrzydliwy smak pamiętam do dzisiaj. Ze szpitala odebrała mnie Fela. Te krwawienia z nosa miałam jeszcze długo po powrocie z obozu.

Ciąg dalszy w kolejnych numerach
«Reduty Online»

FAZ uderza w Redutę – w odpowiedzi pozew sądowy!

Więści z RDI

Frankfurter Allgemeine
ZEITUNG FÜR DEUTSCHLAND

Sąd Okręgowy w Warszawie rozpatrzy pozew przeciwko Frankfurter Allgemeine Zeitung (FAZ). Reduta Dobrego Imienia występuje przeciwko niemieckiej gazecie we własnej sprawie, aby wyegzekwować sprostowanie artykułu zawierającego nieprawdziwe lub nieścisłe oskarżenia, godzące w dobre imię, reputację i wiarygodność organizacji.

Frankfurter Allgemeine Zeitung opublikował w lipcu 2017 r. artykuł, w którym opisywał interwencję podjętą przez Redutę Dobrego Imienia wobec działalności Jana Grabowskiego, historyka z Kanady. Autor artykułu nazywa RDI organizacją „ultranacjonalistyczną”, która uważa za niewinnych polskich „granatowych” policjantów i dokonuje analogii między nimi a „sterroryzowanymi” Żydami z Rad Żydowskich (a w rzeczywistości tzw. policją żydowską, co autor skrętnie przemilcza w tekście). Niemiecki dziennik sugeruje, że polscy policjanci kolaborowali z okupantem i są mordercami, którzy działali z własnej i nieprzymuszonej woli.

Artykuł jest celowo wymierzony w organizację, aby zdyskredytować jej działania. FAZ jest jednym z najpoczytniejszych dzienników niemieckich, prenumerowanym przez ludzi z całego świata. Gazeta chce przedstawić Redutę jako organizację nierzetelną, której opinie w kontekście toczących się procesów międzynarodowych, m.in. przeciwko niemieckim producentom serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” (ZDF), Facebook, El Pais, BBC czy Le Parisien są bezzasadne.



Corriere della Sera – dość kłamstw

Włoski dziennik Corriere della Sera opublikował na początku października artykuł „Wojtyła e la fraternità, non dimentichiamo”

o autorstwa Gian Antonio Stella, przeciwko akcji „Różaniec bez granic”. Dziennikarz, postępując się słowami Karola Wojtyły, zarzuca „polskim katolickim fundamentalistom” odstąpienie od zasad i występowanie tą modlitwą przeciwko imigrantom.

Zarzuca Polakom także kolaborację z Niemcami i współudział w zagładzie Żydów. Do tekstu odniosła się także ambasada RP w Rzymie, a redaktor podjął polemikę z ambasadą m.in. powołując się na słowa Wałęsy, Kwaśniewskiego, Glempa.

Reduta Dobrego Imienia wraz z 25 000 osób wyraziła jasno swój sprzeciw. Poprzez system petycyjny CitizenGo, do redakcji dziennika został wysłany list, w którym przypomniana została historia Holocaustu i II wojny Światowej.

W opinii RDI Corriere della Sera nie uwolnił się jeszcze od myślenia w schematach dzielenia ludzi na lepszych i gorszych i tkwi w zmutowanej formie myślenia totalitarnego, bowiem pisanie o współpracy Polaków i Niemców w czasie II wojny światowej ramię w ramię jest dziennikarską ignorancją i językiem nienawiści w celu zniesławienia Polaków.

Amerykanie korygują

USA z uwagi na wielkość i różnorodność mediów należą do krajów, w którym siłą rzeczy pojawiają się liczne informacje dotyczące Polski, w tym niestety niejednokrotnie zawierające zniesławiające określenia i także opinie.

Na tle wielu zniesławień, których autorzy pozostają głusi na argumenty i wezwania, warto przytoczyć przykłady odmiennej postawy – zaprezentowane przez blogerkę, dziennikarkę i redaktor

Małżeństwo amerykańskich podróżników Peter i Betsy Wuebker prowadzi blog podróżniczy PassingThru.com. We wrześniu tego roku Betsy Wuebker opublikowała swoją subiektywną listę 10 historycznych miejsc w Europie, które każdy powinien zwiedzić przynajmniej raz w życiu Our list of top 10 European historic sites includes of the path destinations ranging from the Neanderthal age up to the mid-20th century. Wśród rekomendacji znalazł się również nasz kraj, a precyzyjniej rzecz ujmując... polskie obozy koncentracyjne Auschwitz i Birkenau. Po naszej interwencji autorka niezwłocznie zmieniła obraźliwy wypis zgodnie z jedną z rekomendowanych przez nas opcji – German camps in Nazi-occupied

Poland. Nie zabrakło szczerych przeprosin i stosownych wyjaśnień.

Milwaukee Magazine jest czasopismem, w którym można znaleźć eseje, reportaże, których tematyka związana jest z Milwaukee i stanem Wisconsin. W czerwcowym numerze periodyka ukazał się artykuł 12 Milwaukeeans making a big difference in our community. W części poświęconej pochodzącej z byłej Jugosławii lokalnej restauratorce, zostało użyte określenie „polish concentration camp”. Więźniem owego „polskiego” obozu miał być dziadek bohaterki reportażu. W odpowiedzi na



interwencję Reduty, redaktor magazynu, Carole Nixsin, przeprosiła niezwłocznie za popełniony błąd i zapowiedziała publikację stosownej korekty. Poza tym dodała od siebie, że jej niezjąca mama miała polskie korzenie i byłaby oburzona tym błędem.

Całkiem niedawno, w związku z recenzją książki „This is how it begins” autorstwa Joan Dempsey, w mediach angielskojęzycznych ukazał się szereg recenzji zawierających określenie „Nazistowska Polska”. Jedną z takich recenzji opublikował amerykański dziennik Portland Press Herald. Ponieważ początkowe wezwanie do sprostowania nie przyniosło oczekiwanego rezultatu, sięgnęliśmy po pomoc naszych niezawodnych wolontariuszy, którzy masowo upomnieli się usunięcie sformułowania „Nazistowska Polska”. Redakcja bardzo szybko poprawiła błędne sformułowanie. Z kolei autorka tekstu, Marae Hart, wysłała przeprosiny i wyjaśnienia zarówno do biura Reduty, jaki i do wielu jej wolontariuszy biorących udział w akcji. opisała szczegółowo przebieg wydarzeń, który doprowadził do publikacji tekstu ze szkalującym określeniem.

Wszystkie te przypadki łączy to, że reakcja na wezwanie do sprostowania nastąpiła bardzo szybko, a autorzy wyrazili ubolewanie i spełnili nasze postulaty. ■

